

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 9 grudnia 1905 r. Nr. 50.

Bomba w hotelu Bristol w Warszawie.

(Do artykułu na stronie 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Bomba w hotelu „Bristol" w Warszawie.

(Do ilustracyi tytułowej).

W chwili, kiedy gubernator Królestwa Skałłon wybierał się do Petersburga, wezwany przez Wittego, aby zdał sprawę z położenia w kraju Przywiślańskim, nad którym zawieszony był, jak wiadomo stan wojenny, zaszły w Warszawie dwa wypadki, które dla Skałłona, niechętnego wszelkim ulgom w Królestwie, były ogromnie na rękę, bo mógł w Petersburgu domagać się zatrzymania stanu wojennego i wskazać na nie, jako na dowód, że „bunt jak był, tak jest". W ubiegłym tygodniu rzucono bowiem w Warszawie dwa razy bomby, raz na Woli, drugi raz w hotelu „Bristol".

Myślałby kto, że taka „zabawa w bomby" usprawiedliwia wyjątkowe środki, zawieszone nad Kongresówką; zapatrywanie to byłoby jednak błędne.

Bomby, co prawda, rzucają w Warszawie, ale społeczeństwo nasze niema z całą tą akcyą „bombastyczną" absolutnie nic wspólnego. Nawet najskrajniejszym stronnictwom bowiem ani przez myśl nie przychodzi wysadzać w powietrze kawiarń i mordować znajdujących się w nich niewinnych ludzi. Ostatnie bomby — to wyłącznie i jedynie produkt prowokatorski najlichszego gatunku, sporządzony przytem tak nieudolnie i naiwnie, że nawet pensyonarki nie dałyby się wziąć na takie „kawały". 26 listopada rzucono np. dwie bomby w „Bristolu" w bardzo ożywionym punkcie miasta, obok największych, dwóch hoteli, w oczach kilku patrolujących żołnierzy i policyantów, którzy jednak cudem jakimś „nikogo nie widzieli i nie zdołali ująć sprawców" — jak pisał „Warszawski Dniewnik". Był to jednem słowem zamach prowokatorski, jak była nim również bomba na Woli. Bomby w „Bristol" były dziełem oddziału „czarnej sotni", której dwóch reprezentantów przyłapali goście kawiarniani bezpośrednio po wypadku, gdy usiłowali tłómaczyć ludziom po rosyjsku, że „wewnątrz coś pękło". W niedzielę 26-go listopada, o godzinie 10 wieczorem, gdy publiczność wypełniła tłumnie wielką salę pierwszorzędnej, a w Warszawie bardzo uczęszczanej kawiarni hotelu „Bristol", rozległ się nagle na sali olbrzymi huk. Straszliwy zgrzyt, trzask tłuczonego szkła, oślepiający błysk, a zaraz po nim huk przerażający, wywołały ogólną panikę. Wiele osób padło na ziemię, innych szalona jakaś siła rzuciła ku ścianie, kilka kobiet zemdlało. Trwało to mgnienie. Ale zaledwie goście odzyskali przytomność i rzucili się do ucieczki, rozległ się trzask i huk drugi. Z pośród stłoczonej publiczności wydarł się krzyk przerażenia. Salę wypełniał ciemny dym, oraz gryzący zapach siarki. Kilka osób miało twarze zupełnie osmalone. Kto żyw, rzucił się do ucieczki, ku wyjściu. Stójkowi, do których się zwrócono, nie umieli dać żadnych wyjaśnień, „nikogo nie widzieli". Przekonano się, że do kawiarni rzucono dwie bomby, ale o sprawcach nie wiedziano. Dopiero później, gdy już ochłonięto ze strachu, przypomniano sobie szczegóły katastrofy.



Internat im. Piramowicza we Lwowie: Widok gmachu internatu.

Naprzód zebrani w kawiarni usłyszeli strzał rewolwerowy, który strzaskał wielką szybę w ostatniem oknie kawiarni od ulicy Kruczej i zaraz potem przez uczyniony w ten sposób otwór wpadł pocisk wybuchowy, który eksplodował na podłodze. Równocześnie druga bomba uderzyła w szybę następnego okna i przy tem uderzeniu pękła, trzaskając grubą szybę. Wybuch obu bomb, wypełnionych kutymi gwoździami i ołowianymi plombami był dość silny, znaleziono bowiem ślady gwoździ w suficie wysokiej kawiarni. To też istotnie wytłómaczyć sobie trudno, jakim sposobem obeszło się tym razem bez ofiar w ludziach. Oprócz bowiem zranienia inżyniera Löwenberga w nogę, zresztą nie ciężkiego, nikt żadnego szwanku nie poniósł. Siła wybuchowa zrzuciła tylko siędzących z krzeseł i powywracała stoły i stołki. Zamach był tak nieudolnie wykonany, że mowy niema, aby był dziełem jakiej organizacyi; był to zamach czysto prowokatorski.

Wszystkie śledztwa, wytaczane po takich prowokatorskich zamachach, są oczywistą komedyą, a aresztowania „podejrzanych" stanowią mydlenie oczu, ażeby przed opinią publiczną upozorować energię tychsamych władz, które uważają za zgodne

Rewolucya w Sebastopolu: Obrzymi tłum robotników przyłącza się do rewolucyjnych artylerzystów, którzy wytoczyli armaty na wybrzeże i skierowali je na twierdzę w Sebastopolu. (Treść na str. 13).

z uczciwością prowokować zamachy i bomby, ażeby następnie na podstawie fałszowanych raportów utwierdzić rząd centralny w przekonaniu, że ferment rewolucyjny wzrasta, wobec czego środki najsurowszej represyi muszą być i nadal z całą



Internat im. Piramowicza we Lwowie: Sypialnia w internacie.

ścisłością stosowane. Ale już i rząd nie da się wziąść na takie kawały.

Ilustracya, zamieszczona na tytułowej stronie, przedstawia wybuch bomby w kawiarni „Bristol“.

Internat im. Piramowicza we Lwowie.

Warunki, wśród jakich kształci się młodzież uboga, uczęszczająca do szkół średnich, seminaryów i t. d., są niezmiernie ciężkie. Niehygieniczne, ciemne, często wilgotne pomieszkanie, szczupłe i liche pożywienie, otoczenie niejednokrotnie demoralizujące, ciężka, wyczerpująca praca po lekcyach licho płatnych — oto obraz zwyczajnych stosunków życiowych tej młodzieży. A już najgorsze jest położenie uczniów, których rodzice mieszkają na wsi, w miasteczkach, zdala od szkoły. Skazani są oni na mieszkanie po tzw. „stancyach“, gdzie za drogie często pieniądze mają bardzo liche utrzymanie, a nie mają żadnej prawie opieki. To też szczęśliwymi mogą się nazwać ci z pomiędzy nich, którzy dostaną się do internatów, zakładanych w większych miastach dla młodzieży ze sfer najuboższych, zwłaszcza, jeśli internat taki jest odpowiednio urządzony.

Z pomiędzy całego szeregu lwowskich internatów, burs i t. p. zakładów, wyróżnia się korzystnie internat im. Piramowicza. Istnieje on od lat czterech, od roku zaś mieści się we własnym gmachu. Przeznaczony jest wyłącznie dla ubogich uczniów seminaryum nauczycielskiego.

Gmach tego internatu znajduje się w ul. 29 listopada, położonej wysoko, w okolicy zdrowej i suchej. Zbudowany skromnie, ale trwale i praktycznie. Jedyną ozdobą fasady frontowej jest popiersie wielkiego pedagoga Piramowicza. Wnętrze gmachu odpowiada w zupełności swemu przeznaczeniu. W suterenach, oprócz piwnic, znajdują się duże, obszerne kuchnie, pralnia, prasowalnia, mieszkanie dla służby i łazienki o dwu ubikacyach. Parter zajmuje pokój dozorcy, pomieszkanie prefekta, kucharki i dwie wielkie sale: jadalnia i aula. Urządzenie obu tych sal proste, ale bardzo piękne, według rysunków inż. Mokłowskiego, w stylu zakopiańskim wykonane. Na pierwszem piętrze znajduje się sala naukowa, uczelnia, na 100 prawie uczniów obliczona. Obok biblioteka i czytelnia, pokój dla chorych, pokój gościnny, kancelarya i pomieszkanie kierownika zakładu. Ostatnie — drugie piętro, mieści trzy sypialnie, obszerną umywalnię, ubikacye do czyszczenia obuwia i sukien, oraz pomieszkanie dwu prefektów. Cały budynek oświetlony gazem, z zastosowaniem palnika Auera. Wentylatory, znaczna wysokość sal, duże okna, zapewniają utrzymanie świeżego powietrza.

W internacie imienia Piramowicza było pomieszczonych w roku zeszłym 88 uczniów, w tem 45 rzymsko-kat. a 43 grecko-kat. Porządek w internacie panuje wzorowy; zarząd dba nietylko o to, aby prowadzenie się wychowanków było moralne, aby postępy w nauce były zadawalniające, ale i o to, aby powierzeni jego opiece kandydaci na-



Internat im. Piramowicza we Lwowie: Sala jadalna w internacie.

brali ogłady towarzyskiej. Dlatego też dla najstarszych urządza się corocznie kurs nauki tańców, oraz raz w miesiącu zebrania towarzyskie w mieszkaniu dyrektora internatu. Również pod względem narodowym robi zarząd wiele, dostarcza lektury z dziejów ojczystych, urządza obchody narodowe itd.

Na czele internatu stoi jako dyrektor, profesor sem. p. Szczurkiewicz, opiekę zaś nad zakładem sprawuje „towarzystwo opieki nad internatem im. G. Piramowicza“, zostające pod protektoratem namiestnikowej Krystyny hr. Potockiej. Prezesem towarzystwa tego jest radca dworu w radzie szkolnej kraj. J. Dembowski.

Internat im. Piramowicza jest, jednem słowem, instytucyą, którą Lwów snadnie szczycić się może. Tak wzorowo urządzonego przytułku dla młodzieży szkolnej nie mają nawet większe i bogatsze jak Lwów miasta zagraniczne.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcia fotograficzne gmachu internatu, oraz w internacie: jadalni i sypialni.



Ze strajku kolejowego w Moskwie: Wojsko, strzegące pociągów na jednym z dworców moskiewskich w dniu wybuchu strajku kolejowego. (Treść na str. 13).

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

28 (Ciąg dalszy).

— Olgo! Zakaż mu tych kpin!

— Nie wiedziałem, że macie głowę, bo widzę tylko oczy, wpatrzone, niestety... nie w moją szlachetną osobę — westchnął żałośnie.

— O, proszę, nie obrażajcie mnie — zawołała Helena wesoło.

— Precz z tyranią! Precz z wyzyskiem! Nawet koleżanki Olgi — śmiał się — tak przemawia człowiek wolny do bezradnej niewolnicy.

— Weźcie kogo innego za cel żartów — mówiła podrażniona — jesteście nieznośni...

— Wiem, cóż dalej?

— Obrzydliwi...

— Cóż dalej? — pytał ze spokojem i powagą.

— Nic dalej — zaśmiała się Helena.

— To dosyć mało... Ale, ale, czy kuferek bezpieczny? — spojrzał na Walczaka.

— U koleżanki zostawiłem.

— Pilnujcież oboje, jak oka w głowie, mówię to seryo, bo mniejsza z tem, że zamieszkacie w cytadeli, ale bardzo dużo liczę na przyszłość.

— Co tam jest? — szepnęła Helena.

— Odebrałem w Sosnowicach ten kuferek z drukarnią podręczną — spojrzał na Olgę — a ponieważ spotkałem w Ząbkowicach wystrojonego według ostatniej mody Stacha, powierzyłem mu ten skarb, gdyż taki elegancki pan może mieć wielki kuferek, a wziąłem jego pakunki, wzrastające po drodze. Jechaliśmy osobno, aby uniknąć wspólnego aresztowania... no i dobrze się stało, bo gdyby ten strażnik był zażądał otworzenia mego kuferka, byłbym teraz pukał do ściany o nazwisko sąsiada.

— Umiecie pukać? — spytała Helena.

— Komar polecił mi wyuczenia się alfabetu, to bardzo przezorny ptak.

— I jak się to odbywa? jak? — spytała zaciekawiona Helena.

— Zaraz was nauczę... Oto, wy i Stach dostaliście bezpłatne mieszkanie i utrzymanie. Wy chcecie się porozumieć i wypukujecie wasze nazwisko; słuchajcie i zapamiętajcie.

I pukał, a widząc, że nie rozumieją, mówił:

— Podzielcie cały alfabet na pięć rządków, po pięć liter w każdym — Helena szybko zapisywała litery w kwadracikach — i pierwsze pukanie do pauzy poziomy rządek, drugie pukanie po pauzie pionowy rządek.

Helena, Olga i Walczak pochylili się nad zapisaną kartą, a Bolek:

— Pukam do Stacha wasze nazwisko: dwa pauza pięć, trzy pauza pięć, jeden pauza pięć, dwa pauza trzy, jeden pauza jeden, cztery pauza trzy, pięć pauza trzy... co razem tworzy: kochasz?

— Niemądry koncept — oburzyła się Helena, gdy Olga i Stach śmiali się — i za wiele sobie pozwalacie!

Wyszli i na ulicy rozeszli się. Stach odprowadzał Helenę, a Bolesław Olgę.

— Wiecie, Olgo, byłoby to bardzo pożądanem dla gazety, abyśmy mi li coś z tajemnic rządu. Postarajcie się, jeśli możecie. Pan Sudkiewicz ma napewno takie wiadomości sekretne, jakieś raporty, okólniki.

— Istotnie, ma on tajne papiery, nawet mógłby chętnie, ale żona nie lubi tego.

— Czy wy nie możecie sami?

— Kiedy mi tak... ciężko — westchnęła.

— Macie skrupuły... podzielałbym je w każdych innych warunkach, ale zważcie, że nasze sposoby i środki są, w stosunku do ich taktyki, bardzo niewinne. Oni nas wieszają, torturują i wyzyskują nasze uczucia, doprowadzają do szaleństwa swe ofiary i nigdy przed żadnym środkiem się nie cofną. System rządowy wytworzył z nich tylko maszyny do ucisku i samowoli. My nie walczymy z narodem rosyjskim, lecz ze systemem równie dzikim u nas, jak u nich. Nie czas teraz na szlachetność i wspaniałomyślność, bo chwila walki bliższą jest, aniżeli sądzicie, aniżeli mogę wam powiedzieć.

— Dobrze, Bolku... postaram się, może dzisiaj jeszcze.

— Dzisiaj?

— To mój sekret — uśmiechnęła się, gdyż umyśliła przejrzeć tekę kancelaryjną, którą widziała dziś w nocy w pokoju, gdy szła zawołać Sabinkę.

— A nie zapomnijcie pójść jutro do Komara po instrukcye i przez dwa dni pozbądźcie się kłopotu z książkami, bo trzeciego dnia do kaszty was zaprzągnę.

— Wiem i bardzo się cieszę.

— Bywajcie mi zatem zdrowi, śpijcie spokojnie, dobranoc — ucałował jej rękę — lepiej dla was, gdy stróż mnie nie zobaczy, będę niedaleko stał, póki nie wejdziecie. Dobranoc, Olgo!

— Dobranoc — i wkrótce potem stróż otworzył bramę i wpuścił Olgę.

Żalecki wracał do siebie przez opustoszone ulice, był to bowiem czas, gdy goście teatralni już zapełnili restaracye i piwiarnie, a jeszcze nie wyszli z nich, chwila względnego spokoju na ulicy.

Jakiś czas myślał o Oldze, jej piękności i dobroci i o pierwszym pocałunku, poczuł gorące dreszcze i zbudziły się pragnienia wypowiedzenia jej w słowach gorących uczuć swoich, miłości, uwielbienia, poświęcenia... jednak siłą woli otrząsł się z tych marzeń i zaczął rozmyślać nad urządzeniem drukarni i puszczeniem w świat gazety.

Ta myśl nasunęła mu obraz Heleny i Walczaka. Porównując Helenę z Olgą, nie mógł się powstrzymać od śmiechu ironicznego, bo o ileż lepszą, mądrzejszą, piękniejszą jest Olga, a jednak Walczak zakochał się w Helenie.

O czem oni mówili, jakie czułości prawili? - zadawał sobie pytania, ale wkrótce wzruszył lekceważąco ramionami, bo i co obchodziła go ich miłość? Oboje są pełni zapału i poświęcenia dla partyi, a to rzecz najważniejsza.

Tymczasem Helena i Stach, skręciwszy z restauracyi na Plac Warecki, przez jakiś czas szli w milczeniu. Była to chwila bezwiednego dostrajania się dwóch umysłów sympatyzujących ze sobą, wzajemne doszukiwanie się wspólnych myśli i uczuć.

— O czem myślicie, Stachu?

— Jeśli wy, Heleno — przystanął i patrzył w jej oczy — chociaż w drobnej cząstce czujecie to, co ja... jeśli cokolwiek mnie kochacie, to zrozumiecie mnie bez słów, bo „słowa myślom kłamią“. Słowo to grube, niezgrabne narzędzie, które łamie i kaleczy uczucie.

Szli dalej, a on po chwili:

— Szukam wyrażeń, słów... a znajduję tylko barbarzyńskie, chłopskie wyrazy, które mnie samego drażnią.

— Więc powiedzcie raz... przecież i ja z krwi i z kości, jak wy.

— Chcieliście sami, więc nie obrażajcie się, jeśli powiem...

— A więc?

— Chcę, abyście mi powiedzieli: Kocham, jestem twoją, będę twoją.

Milczała czas dłuższy i nastała chwila, jakgdyby się oboje zmagali ze sobą. Słowa te były dla niej za szorstkie, za bezwzględne; czuła, że raz wypowiedziane są tym ogniem, który pali mosty.

— Jacy wy niewierni, Stachu, czyż mało wam okazałam współczucia, serca?

— Jak na takiego żebraka, jak ja, to może nawet za wiele — powiedział z goryczą — zresztą nie psujmy sobie koleżeńskich stosunków... czas przed nami, a czas wszystko łagodzi... Kiedyż każecie mi przyjść do was, abym klucz dostał od waszego mieszkania?

— Po siódmej rano, bo o pół do ósmej wychodzę z domu.

— To i dobrze... a nie znacie gdzie w tej okolicy jakiego hotelu, abym się przespał, bo czuję się dziwnie wyczerpany i znużony.

— Prawda, że też nam na myśl nie przyszło, zamówić numer dla was. Teraz możecie nie dostać.

— E, nie wielka bieda, prześpię się gdziebądź na ławce, albożem nie chłop — zaśmiał się z przymusem — ktoby tam dbał o takie fraszki.

— W każdym razie spróbujcie do hotelu; jest jeden przy kolei warszawsko-wiedeńskiej, musicie się przespać, jutro czeka was praca.

— Nie kłopoczcie się, koleżanko, wytrzymam; twarda u mnie natura.

Minęli przecznicę Teodora i zdala było widać wysoką kamienicę, w której mieszkała Helena.

— Czy zauważyliście, koleżanko, że wszystkie wrażenia nasze zmieniają się i zabarwiają w kierunku prostym do uczucia. Jadąc do Warszawy, bieg kolei był dla mnie żółwim; zdawało mi się, że mam skrzydła i na nich pędziłem do niej, do Warszawy, że już ją znam, kocham... a teraz mam wrażenie jakiegoś płaza, czy gada, który ledwie od ziemi odstaje, a zapomniał o skrzydłach, o wzlocie.

— I ja czuję się smutną, zgnębioną, wiem, że całą noc spać nie będę.

— Oddam wam waszą radę — zaśmiał się — „musicie się przespać, jutro czeka was praca“. Więc dobrej nocy, koleżanko — zadzwonił po stróża.

Usłyszeli stukot drzwi otwieranych w sieniach i suwające kroki stróża, podzwaniającego kluczami.

— Czy tak mamy się rozstać, Stachu? — spytała z żalem.

— Żegnamy się, jak dobrzy koledzy.

Gdy klucz zgrzytnął w zamku, Helena dodała pospiesznie:

— Nie, ja was tak nie puszczę; chodźcie ze mną.

XII.

Zwykły wóz ciężarowy w jednego konia wlókł się powoli Krakowskiem Przedmieściem, Świętojańską i skręcił na Celną. Skromne meble na wozie nie zwróciły uwagi na siebie. Sterczało z boku żelazne łóżko, u spodu siennik, dwa kuferki, kilka półek, krzeseł, dwa stoły i trzy drewniane paki.

Na rogu Brzozowej i Celnej wóz, na dany znak przez Żaleckiego, stanął i furman rozwiązywał sznury, przytrzymujące rzeczy do wozu.

Żalecki w skromnem ubraniu, trochę podnisz czonem, zostawiwszy Walczaka na ulicy, wszedł do domu narożnego. Kamienica, od Brzozowej i Celnej, miała po trzy okna, w obramowaniu kamiennem z czasów upadku renesansu. Sień wąska, sklepiona, prowadziła na małe, brudne podwórze, zaćmione z powodu czteropiętrowych murów. Z tego podwórza, przez szerszą sień, wchodziło się do drugiego, obszerniejszego i czyściejszego dziedzińca, na który wychodziły okna ze wszystkich stron, a z boku było wyjście na rynek Starego Miasta. W drugim podwórzu miały swój skład przekupki staromiejskie; tłoczyły się tam stare kosze, lady sklepikowe, drewniane naczynia, stare żelaza, kawałki płótna...

W kamienicy przejściowej było zawsze we dnie ludno i gwarno, nawoływano się, kłócono, wymyślano sobie, to znów wybuchały śmiechy, albo też skargi, żale, płacze, pomstowania.

Żalecki, wszedłszy w sień, łączącą pierwsze podwórze z drugiem, zapukał do oszklonych drzwi na lewo i po chwili wyjrzała niemłoda kobieta. Poznała nowego lokatora, bo na pozdrowienie uśmiechnęła się przyjaźnie i rzekła:

— Mateusz pewno od Rynku pilnuje, czy mam go zawołać?

— Dziękuję pani, pójdę sam.

Spotkał go rozmawiającego żywo z dwoma kobietami o najświeższej kradzieży w sąsiedztwie.

— U mnie tegoby nie było, bo sen mam taki, że słyszę, jak kot łazi — tłómaczył im.

— Ale — zaśmiała się starsza z kobiet, w czarnym twarzowym kapeluszu, niegdyś modnym — chyba jak zamianczy wam do ucha, bo człowiek, jak się naharuje, to śpi jak kłoda.

— Jak który — zaczął Mateusz, a ujrzawszy obok siebie Żaleckiego, przerwał rozmowę, podając mu rękę — dzień dobry, czy już z manatkami do stancyi?

— Szukałem was — uścisnął podaną rękę — klucza mi trzeba i waszej pomocy.

— Ho, ho, ho — zaśmiał się — toście tacy meblowi... ano, zobaczę wasze graty.

Poszli do stancyi stróża, który, zdejmując klucz z gwoździa, rzekł do żony:

— Matko, mamy lokatora — i nie czekając odpowiedzi, zamknął drzwi za sobą i wszedł z Żaleckim do przeciwległego jego drzwiom wąskiego, ciemnego kurytarza parterowego. W samym końcu przystanął, omackiem włożył klucz w zamek, otworzył i weszli do długiej, przyćmionej sklepionej izby z jednem oknem, wychodzącem na dziedziniec drugi. Pół okna było zasłonięte koszem, opierającym się o ramę okna, co zobaczywszy stróż:

— Ta zatracona Michałowa myśli, że za głupie dziesięć groszy na tydzień wolno jej na sam dach włazić — i zwracając się do lokatora — widzicie, moja wyszorowała dla was podłogę, a ja stancyę omiotłem, a wszystko po dobroci, jako jesteście kumem mego przyjaciela.

— Dziękuję wam, i nowe gospodarstwo trzeba oblać... ale wpierw złoże rzeczy.

— Rychtyk... tak się należy.

Wreszcie wniesiono rzeczy do izby, a stróż:

— Teraz dajcie mi paszport, bo muszę was zameldować — a gdy otrzymał i czytał, podniósł oczy na Żaleckiego — to wy Jan Pasta z Gajownik... a kamrat wasz? — wskazał na Walczaka.

— Stanisław Kalina, on zameldowany przy rodzicach i u nich nocuje, a do mnie przychodzi po przyjaźni i stręczy mi robotę — i zwróciwszy się do Walczaka — idź, przynieś lampy i naftę. A wracaj rychło! — zawołał za odchodzącym.

— To wy, Pasta, nie we fabryce? — zdziwił się.

— Byłem kilka lat, ale wygryzł mnie Niemiec i poszedłem na swój chleb.

— O, te Niemcy, szołdry! pewno swego zaraz wsadził, oni tak zawsze... A cóż robicie w domu? warsztatu nie widzę żadnego.

— Ja fabryczny rysownik, a teraz robię dla majstrów stolarskich.

— I dobry zarobek macie?

— Jakoś idzie...

— Ale stancyę musicie płacić akuratnie, co do godziny, bo rządca strasznie pilnuje i swego nie daruje.

— Będę płacił... Dałem już pięć rubli zadatku, a tu druga piątka, to już za cały czerwiec. Gdzież piwnica? bo muszę złożyć puste paki i mam jeszcze na dawnem mieszkaniu stół i inne graty.

— Czemuż nie przywieźliście w kupie?

— Bo pożyczyłem sąsiadowi, a ten akurat wyszedł do miasta... No, a piwnica?

— Hm... to jest taka rzecz. Ta piwnica należy do lokatora na trzeciem piętrze, a jako nie używa jej, stoi pusta. Ale ja ryzykuję, bo niech ręka Boska broni, aby się rządca dowiedział, wygnałby mnie precz, a mam żonę i czworo dzieci.

— Jednak przyrzekliście nam, gdyśmy się we dwóch z Wojciechem umawiali.

— Prawda, ale teraz strach mnie obleciał, anuż powiecie komu o tej piwnicy?

— Cóż znowu? Daję wam słowo uczciwego robotnika, że nie powiem.

— Bo wiecie, nawet moja baba nie wie, że wam odstąpi em trejkotałaby mi nad głową.

— Bardzo dobrze zrobiliście — pochwalił Żalecki.

— Ale zważcie dobrze, wy pracujecie i ja pracuję... patrzy mi się coś za moją pracę i jako ryzykant jestem.

— Hm... niech będzie i tak, a ile?

— Ileż zarabiacie?

— Zawsze do trzydziestu będzie.

— To was rublem nie skrzywdzę na miesiąc.

— Ej, nie, za drogo...

Poczęły się targi, stanęło na siedmdziesięciu pięciu kopiejkach i stróż pokazał piwnicę.

— Ja zapłacę — mówił Żalecki — a jak mi odbierze piwnicę lokator, albo rządca?

— Nie bójcie się, moja w tem głowa... i prędzej mi tu — pokazał dłoń — włosy wyrosną, aniżeli się kto dowie, albo was ruszy.

Wszedł Walczak z dwoma lampami i puszką na naftę. I we trzech poszli do bliskiego szynku. Przyszła i Mateuszowa i w ciągu rozmowy ostrzegała:

— A żadnych hałasów i breweryi po nocach, bo kamienica cicha, ludzie spokojni, pracowici, to chcą wypoczynku.

— Niech się pani nie boi, ja nie taki lekkoduch i ja pracuję ciężko... A porządku muszę pilnować, bo do mnie przychodzą ludzie z miasta i panowie i porządne panie, abym im rysował to i owo... temu ozdoby na meble, a tej do wyszycia albo haftu.

— Byle porządne, bo z naszej kamienicy nie można robić Sodomy i Gomory.

— Bądź pani spokojna; toćby mi wstyd było przed panią, jak przed rodzoną matką.

Te słowa przyjęła bardzo mile i rozeszli się w najlepszej zgodzie.

Gdy Żalecki i Walczak wrócili do izby, zabrali się gorączkowo do roboty, a przedewszystkiem przygotowali lampy i zeszli do piwnicy.

W samym końcu ciemnego korytarza były wąskie, okute drzwi. Po schodach kamiennych, po których z trudnością mogły iść dwie osoby obok siebie, schodziło się do zupełnie ciemnego korytarza, z którego na lewo i na prawo wchodziło się do piwnic lokatorów. Weszli do ósmej, skrajnej, w kierunku ulicy Brzozowej. Szeroka na pięć kroków, długa na siedm, posiadała małe okienko u szczytu, przez które wpadało brudne, ledwie widoczne światełko i głuchy turkot ciężkich, kowanych wozów. Dość głęboka szyja okna rozszerzała się cokolwiek przy ścianie wewnętrznej. Czuć tu było stęchliznę, przegniłą wilgoć, a w rogach i pod ścianami butwiały jakieś trudne do rozpoznania resztki drzewa i śmieci.

Żalecki zasłonił szyję okna, a postawiwszy lampę, poczęli we dwóch oczyszczać piwnicę miotłą i rydlem. Poruszone śmietniska zanieczyściły jeszcze bardziej i tak już duszne i ciężkie powietrze. Krztusili się w tych wyziewach i w pyle, ale w pracy nie ustawali. W głębi korytarza pod ścianą zesypali wymiecione śmiecie i gruz.

Z pak, będących w górnej izbie, wyjęli grube wojłoki, stoły składane, części maszyny drukarskiej i wraz z kuferkiem, przywiezionym przez Walczaka, wnieśli to wszystko do piwnicy.

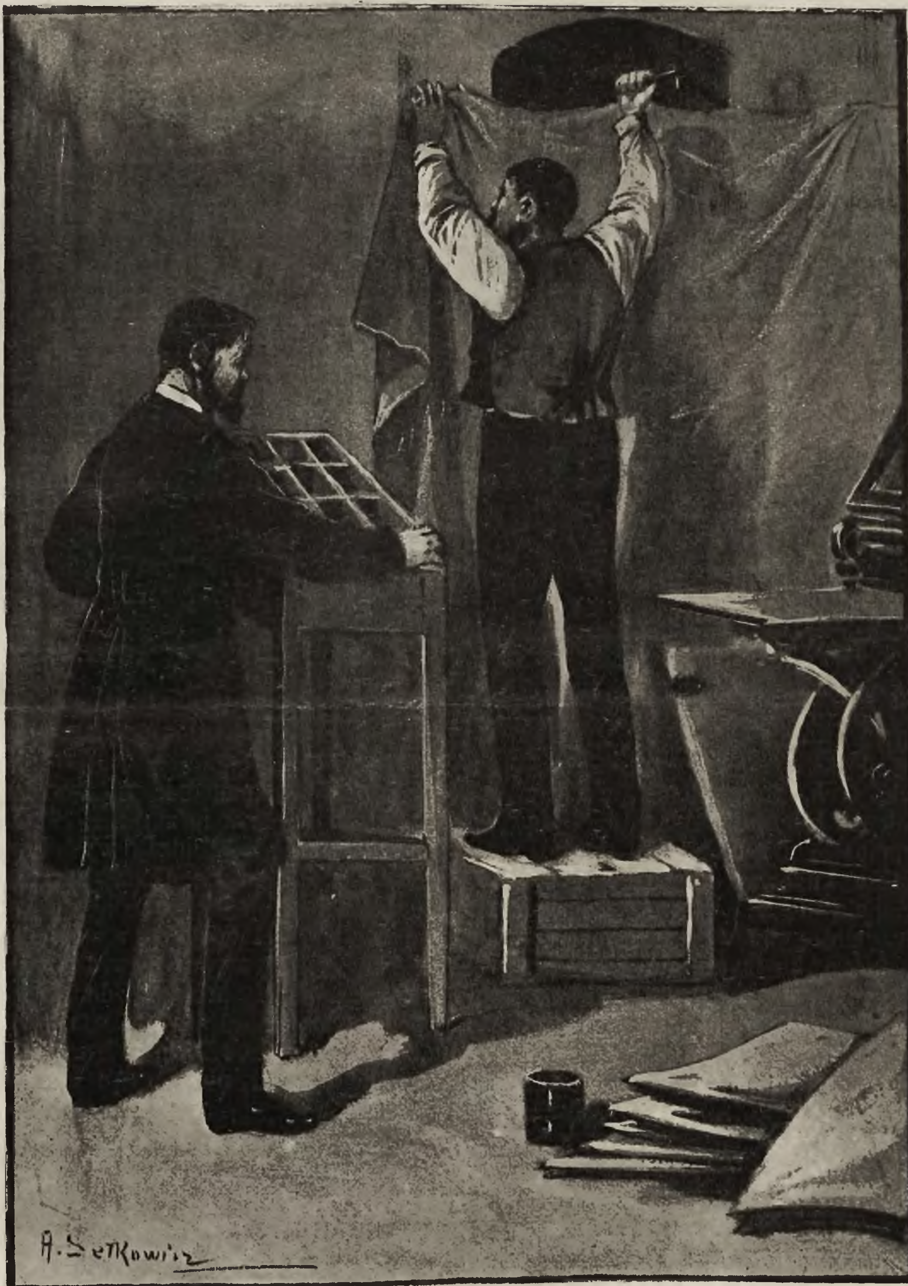
Wojłokami obili trzy ściany, aby z piwnicy nie dochodził żaden szmer i stukot maszyny, opatrzyli drzwi starannie i zajęli się ustawieniem dwóch kaszt drukarskich i małej, ręcznej maszyny. Przybili półki, wnieśli papier w pace, umocowali lampy, i spoceni, zabrudzeni, rozejrzeli się dumnie po piwnicy, która przy świetle lamp jasnych wyglądała obecnie na zaciszną pracownię drukarza.

— Jakże Stachu, czy można tu będzie pracować?... A tak wątpiłeś!

— W gorączce, w podnieceniu, wytrzyma człowiek trzy, cztery godziny, ale w normalnych warunkach osłabnie za godzinę.

— Brak ci chłopie powietrza? — zaśmiał się Bolek — od czegóż mamy okno, zrobimy wentylator, no i nie zapominaj, że jestem chemikiem, znajdę środki oczyszczenia tego powietrza.

— Oho, już ósma — zawołał Stach, patrząc na zegarek — już idę... jednak siedem godzin pracowaliśmy tutaj.



...Wojłokami obili trzy ściany, aby z piwnicy nie dochodził żaden szmer i stukot maszyny, opatrzyli drzwi starannie i zajęli się ustawieniem dwóch kaszt drukarskich i małej, ręcznej maszyny...

— I nie zaszkodziło ci — zaśmiał się Bolek, poprawił stoły, gasił lamy i zamknąwszy drzwi na sztuczną kłódkę, wyszli z piwnic.

W górnej izbie, poustawiawszy jako tako graty, umyli się i wyszli.

— Gdzie mieszkasz, Stachu?

— Na razie wezmę jaką ciupę w hotelu, a potem zobaczę...

— Widziałem na mojej ulicy kartę wywieszoną... znam ten pokój... nie weźmiesz?

— Nie wiem... później...

— A tobie skąd te wahania? — zdziwił się Bolek szczerze.

— Hm... chyba ci powiem... Chcę mieszkać z Heleną... i ona niech wybierze mieszkanie.

— Z Heleną?... no tak, to było do przewidzenia, tylko czy nie zawcześnie?

— Pod jakim względem?

— Za mało wciągnąłeś się w naszą robotę, a ona, jak wiesz, nie zna ani kochanki, ani żony...

— To też łączymy się pod warunkiem zupełnej swobody, niczem nie będziemy się krępowali.

— Tak się mówi... ale w rzeczywistości uczucie otoczy cię tak pajęczemi, niewidzialnemi nitkami, że będziesz krwawił, gdy los rzuci cię do lochu lub na wygnanie. I zawsze będziesz drżał o nią. Zresztą wiesz, Stachu, na twojem miejscu miałbym pewne etyczne skrupuły.

— Wyborny jesteś... Z chwilą, gdyśmy dali sobie słowo, jesteśmy małżeństwem tak dobrem, jak każde inne, a nawet lepszem, bo bez żadnego przymusu dotrzymamy sobie wiary.

— Zapewne... tylko, że tego waszego małżeństwa nie uznaje nasze społeczeństwo i nazywa „dzikiem“... że rola Heleny i twoja, a zwłaszcza jej, jest chwiejna a nawet dwuznaczna.

Przechodzili obok cukierni w tej chwili, a że byli spracowani, zaproponował Żalecki:

— Wstąpmy na kawę.. pogadamy...

— Czy o Helenie?

— Nie... o sprawie.

Gdy usiedli, spytał chmurny Stach:

— Mów... czekam.

— Mój Stachu, nie miejże babskich nerwów i rozumuj ściśle, logicznie, a swoje ja egoistyczne zostaw na chwilę w przedpokoju. Zrozumiałeś?

— Zaraz, Bolku — wypił szklankę zimnej wody, kazał podać drugą, znów wypił, otarł spocone czoło i uśmiechnąwszy się, rzekł — już jestem gotów.

— Otóż my, Stachu, my bojownicy, nie mamy siły brutalnej za sobą; nie imponujemy złotem, przepychem; nie mamy do rozdania intratnych posad, lecz co najwyżej więzienie, kulkę, stryczek... a jednak garną się do nas tysiące i tysiące. Ty powiesz: bo idea polskiej partyi socyalistycznej jest wielką, ona porywa tłumy. Bajki, przyjacielu!

Pił kawę, a gdy skończyli:

— Idea bez chorążych pozostaje w najlepszym razie dowodem szlachetnych marzeń ludzkości... w książkach. I wierz mi, ludzie, zwłaszcza robotnicy, posiadający mało analizy a dużo wrażliwości na realne objawy, patrzą najpierw na chorążych, a dopiero na ideę. I my musimy być wysoce etyczni, bez skazy, bez plamy, bez zarzutu, a nawet bez podejrzeń. Zapewne, że ja, nasi koledzy, uznają ten związek, ale nie robotnik, nie robotnica... i nie dlatego, żeby bolało to ich etykę, raziło uznane formy, gdyż sami tak żyją, póki nie dorobią się pieniędzy na wyprawienie ślubu i wesela, ale ty głosisz im wzniosłe myśli, podnosisz ich ducha, nawołujesz do godności osobistej, piętnujesz niemoralność burżuazyi... więc ty w ich oczach musisz być bez skazy, niepokalany... musisz świecić im etyką, siłą woli, charakterem. Czy rozumiesz teraz, dlaczego patrzę niechętnem okiem na Helenę i na ciebie?

— Pozornie masz rację, ale z drugiej strony my wprowadzamy w praktyczne życie głoszone zasady wolności wyboru, obchodzenia się bez form, stajemy odważnie przeciw głupocie opinii, dajemy przykład dobry,

— Stachu, gdzie logika życia?... Wypij jeszcze szklankę wody, ochłodź twe namiętności — zaśmiał się — Spojrzyj na chwilę oczyma robotnika i oto ujrzysz, że ten twój apostoł, ten chorąży, ten, który drwi z kazamat i śmierci, gdy tylko znajdzie się w codziennych warunkach życia, jest lekceważony, pogardzany, szkalowany, obmawiany za swoje nieme ladne życie. I myślisz, że przez burżuazyę? Wcale nie; tam nie sięgają stosunki robotnicze, ale przez samychże robotników, jak stróż, praczka, służące, sklepowi, chłopcy. C. d. n.

Końskie mięso we Lwowie.

Niesłychana drożyzna wszelkich artykułów spożywczych, a w szczególności mięsa, skłoniła zarząd miasta Lwowa do wprowadzenia na targ mięsa końskiego, które pod względem dobroci nie wiele ustępuje gorszym gatunkom mięsa wołowego t. zw. prowincyonalnego, a jest bez porównania od niego tańsze, tak, że i najuboższe klasy ludności mogą się niem żywić. Było to tem konieczniejsze, że prezydyum miasta ze zwykłem i znanem już powszechnie niedołęstwem traktuje sprawę założenia miejskich jatek z mięsem wołowem i że sprzedaż tańszego mięsa prowincyonalnego funkcyonuje bardzo licho. W tych zaś warunkach nie mogło nastąpić obniżenie cen mięsa i publiczność była dalej skazaną na wyzysk ze strony „królów mięsnych“.

Sprowadzono tedy do Lwowa p. Henryka Babaczka, „wasserpolaka“ — jak sam o sobie mówi — „specyalistę“ od mięsa końskiego, który przy ul. św. Marcina urządził warstat rzeźnicki i masarski, a w trzech punktach miasta sklepy z mięsem końskiem i z gotowymi wyrobami masarskiemi z tegoż mięsa.

Jak bardzo potrzebnem i dla ludności pożądanem było tego rodzaju przedsiębiorstwo, dowodzi fakt, iż zapasy koniny rozsprzedają wszystkie trzy sklepy w przeciągu kilku godzin każdego dnia. P. Babaczek zaś — ów synonim końskiego mięsa we Lwowie, nie może podołać nawałowi pracy i wraz z kilku czeladnikami po kilkanaście godzin dziennie bez wytchnienia pracuje. A ludziska kupują koninę i chwalą ją sobie bardzo i cieszą się jej taniością. Szczególnem powodzeniem cieszą się wyroby masarskie z mięsa końskiego. Mają one być bardzo dobre, taniość ich zaś jest wprost zadziwiająca. N. p. para kiełbasek frankfurckich mniejszych kosztuje 2, a większych 4 centy.

Cała ta historya z mięsem końskiem, która przez kilka dni stanowiła pewnego rodzaju sensacyę we Lwowie — ma jednak i pewną ciemniejszą stronę. Oto jest to przedsiębiorstwo bardzo dotkliwym ciosem dla rzeźników drobnych, tych, którzy handlowali mięsem tańszem, a których klientela składała się z ludzi ubogich. Jest ciosem dla nich, bo bardzo wiele ludności zaprzestało kupować mięso wołowe, a żywi się koniną. Śmieją się zaś w kułak wielcy rzeźnicy i dalej drą skórę, bo wiedzą, że ich kundmani mięsa końskiego kupować nie będą. Śmieją się i podwyższają ceny mięsa.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające sklep z mięsem końskiem w Lwowie.



Końskie mięso we Lwowie: Sklep z wyrąbem mięsa końskiego. (Fot. M. Münz. Lwów).

Demonstracya floty.

Od szeregu już lat jest półwysep bałkański widownią ustawicznej wojny domowej. Rząd turecki sam, zamiast starać się pogodzić nienawidzące się wzajem narody, zamieszkujące Macedonię, sam je ustawicznie podjudza, wywołując rzezie chrześcijan i domową wojnę. Doszło do tego, że ostatecznie mocarstwa europejskie musiały wglądnąć w to, co się dzieje w Macedonii i wysłać tam żandarmów, którzy mają utrzymywać porządek w tej nieszczęsnej krainie. Sułtan turecki zdecydował się wprawdzie pod presyą mocarstw jeszcze przed dwoma laty na zaprowadzenie reform w Macedonii, ale do dziś dnia rząd turecki nie uczynił i kroku naprzód w tej sprawie, a nawet w grzeczny sposób dał znać mocarstwom, że się bez ich opieki obejdzie.

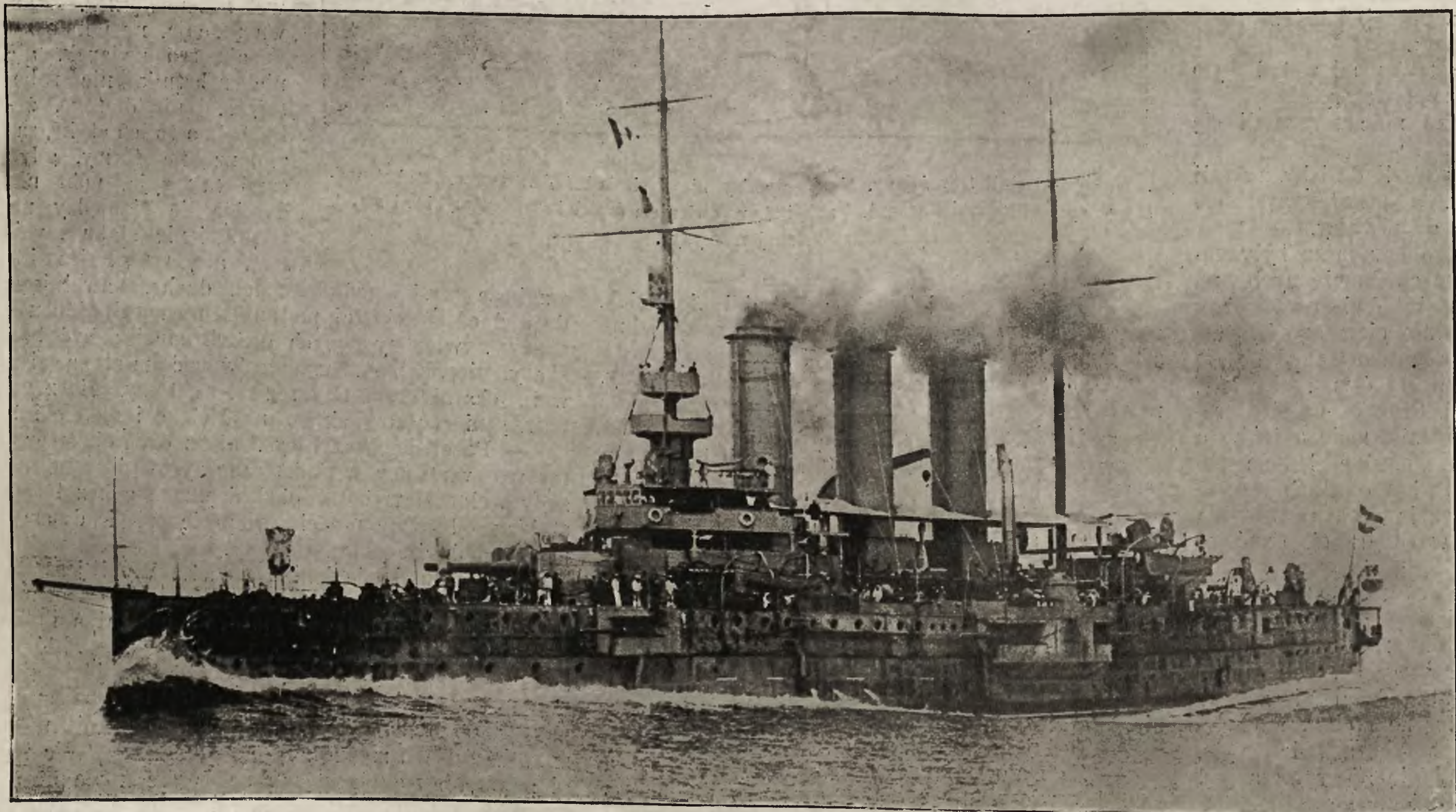
Sytuacya jest więc obecnie naprężoną. Mocarstwa, na wiadomość o oporze sułtana w kwestyi reform, postanowiły zmusić go do tego siłą, aby jednakże na razie nie wywołać wojny, wysłały na wody tureckie połączone eskadry, które mają okazać sułtanowi, że w razie dalszego oporu mocarstwa gotowe są nawet wojnę rozpocząć. Ta „demonstracya floty“ złożonej z kilkunastu pancerników mocarstw europejskich, ma charakter pokojowy. Zadaniem jej jest wstrzymanie żeglugi na wodach tureckich, opanowanie komór celnych w Turcyi, a gdyby to wszystko nie pomogło, wtedy dopiero flota ta rozpocznie prawdopodobnie akcyę wojenną. W tej mierze nie wydano jeszcze stanowczych rozporządzeń.

W demonstracyi floty biorą udział wszystkie mocarstwa europejskie. Ponieważ jednak najgłówniejszą rolę gra w sprawie macedońskiej monarchia austryacko-węgierska, zgodzono się więc, aby komendę nad flotą wszystkich mocarstw objął austryacki admirał Ripper, który niedawno awansował na admirała. Dla nas jest nominacya admirała Rippera na naczelnego komendanta floty demonstracyjnej o tyle przyjemniejszą, że p. Ripper jest rodowitym Krakowianinem. Jest to człowiek stosunkowo jeszcze młody; olbrzymie zdolności i energiczna praca, zjednały mu uznanie wszystkich i spowodowały zaszczyt, jaki go teraz spotkał.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze ilustracyę, przedstawiającą pancernik „Św. Grzegorza“, admiralski okręt p. Rippera.

Bunt marynarzy w Kronsztadzie.

Epokowych zmian i ewolucyi w społeczeństwie nie da się przeprowadzić prędko i bez uniknięcia rozlewu krwi. Dowodem tego jaskrawym jest obecnie Rosya. Jak było do przewidzenia, manifest konstytucyjny, ogłoszony 31 października, nie zdołał uśmierzyć szalonej burzy rewolucyi, która zbyt wielkie zatoczyła kręgi, zbyt silnym wybuchła płomieniem, aby ją można było ugasić samem nadaniem konstytucyi. Manifest bowiem konstytucyjny jednych nie zadowolnił w zupełności, inni przyjęli go z niedowierzaniem, usprawiedliwionem zresztą tylokrotnymi zawodami, dla innych wreszcie był on hasłem do wysilenia całej energii, aby tę konstytucyę w zarodku jeszcze zgnieść i o ile się da, zmusić cara do cofnięcia jej. Była to walka za późno podjęta i spowodowana jedynie krótkowidztwem politycznem pewnych sfer, a jednak te ostatnie podrygi konającego w śmiertelnym uścisku rewolucyi wstecznictwa, spowodowały nowe zaburzenia, ohydne rzezie żydów i inteligencyi, gdyż, jak wiadomo, czarnemi sotniami kierowała „tajemnicza“ ręka. O ile jednak manifest konstytucyjny wywołał ostatnie siły reakcyonistów do walki, która w dziejach odradzającej się Rosyi stanowić będzie niezmytą krwawą plamę, o tyle znów pobudził energię tych, którzy dawniej nie śmieli, nie mogli nawet podnieść się przeciw ciemiężcom, gdyż byli skrępowani przysięgą i żelazną dłonią potwora, któremu na imię: militaryzm Wojsko było jedynym czynnikiem, który stał zawsze przy tronie samodzierżawnym i w czasie rewolucyi, jaka przecie cały naród rosyjski



Demonstracya floty: „Sw. Grzegorz“, austryacki pancernik flagowy admirała Rippera, głównodowodzącego flotą mocarstw.

ogarnęła, nie było, z wyjątkiem słynnej epopei „Potemkina“, ani jednego wypadku większej ruchawki wojskowej w Rosyi. Armia podniosła dopiero głowę po ogłoszeniu konstytucyi i to nie armia lądowa, ale marynarka.

Pisaliśmy w poprzednim numerze o przyczynach wybuchu buntu w Kronsztadzie. Bunt ten przybrał kolosalne rozmiary, a nie miał bynajmniej charakteru politycznego, bo marynarze splamili się rabunkami i ekscesami. Nienawiść buntowników skierowała się przedewszystkiem przeciwko oficerom i urzędnikom admiralicyi, których z początku aresztowano, później zaś, gdy tłumy buntowników, roznamiętnione powodzeniem, zaczęły szaleć, zabijano na ulicach. Urzędy admiralicyi legły w gruzach, gdyż zbuntowani marynarze skierowali na nie ogień kilkunastu bateryi nadbrzeżnych, a nawet wytoczyli na ulice działa i z nich ostrzeliwali wszystkie znaczniejsze gmachy rządowe.

Jakikolwiek charakter miał bunt marynarzy, to jednak zaprzeczyć nie można, że był on objawem bardzo niebezpiecznym i dla rządu zwłaszcza fatalnym. Dowodził on bowiem, że rząd nie może już bezpiecznie liczyć nawet na tych, na których dotychczas silnie i pewnie się opierał. Czemprędzej wysłano więc do Kronsztadu silne pułki wojska, prawie całą załogę Petersburga, aby bunt marynarzy zgnieść i przywrócić spokój w tej twierdzy, która jest bramą Petersburga poniekąd.

Wojsko, zostające pod dowództwem ludzi ze szkoły Trepowa, wzięło się energicznie, jeśli okrucieństwa można nazwać energią, do stłumienia ruchawki i rzeczywiście w krótkim czasie przywróciło spokój. Buntownicy uzbrojeni byli bardzo dobrze, to też bronili się zawzięcie, ale dopuszczali się przytem nadużyć barbarzyńskich. Plądrowali sklepy, wpadali do mieszkań, strzelali do ludności, i mnóstwo mieszkańców aresztowali, osadzając ich w zdobytem więzieniu. Ostatecznie pokonano ich, ale kosztowało to dużo krwi i ofiar w ludziach, a także większą część miasta obrócono w perzynę.

Charakterystyczna rzecz, że te wszystkie pułki petersburskie, natychmiast po stłumieniu buntu, skwapliwie odwołano do Petersburga. Przyczyną tego był, jak się okazało fakt, że w Petersburgu zaczął się znowu w przerażający sposób szerzyć strejk i władza przechodziła z każdą godziną bardziej w ręce rewolucyonistów.



Bunt marynarzy w Kronsztadzie: Wojsko, przybyłe z Petersburga celem stłumienia buntu marynarzy, biwakujące na ulicach Kronsztadu.

W Petersburgu zgromadzone są olbrzymie majątki w złocie i srebrze, należące do cara i wielkich książąt. Majątki te mogły łatwo stać się łupem rewolucyonistów i dlatego to tak pospieszono się z odwołaniem wojsk z Kronsztadu.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok dwie illustracye. Jedna z nich przedstawia biwakowanie wojsk, przybyłych w celu stłumienia buntu, na ulicy pod hotelem Londyńskim, druga zaś aresztowanie przez buntowników jednego z mieszkańców. Na illustracyi tej widać gruzy zburzonego pałacu admiralicyi i szczątki zdemolowanego mieszkania jednego z oficerów.

Król hiszpański w Wiedniu.

Młody, bo zaledwie 19 lat liczący władca Hiszpanii, Alfons XIII. postanowił, póki mu na to czas i siły pozwalają, zwiedzić państwa europejskie, poznać osobiście władców i stolice Europy.

Przed kilku miesiącami udał się więc do Francyi i w Paryżu przepędził kilka dni, podejmowany bardzo uroczyście przez prezydenta Loubeta i ludność Paryża, która, aczkolwiek po większej części jest przekonań republikańskich, przyjęła młodego władcę tak, jak go przyjąć przystało. Zaszedł tam wprawdzie niemiły wypadek, że na młodocianego króla, który jeszcze nikomu nie zdołał się narazić, bo w rządach bierze bardzo mały udział, wykonano zamach, o czem pisaliśmy już dawniej w „Nowościach“. Ale fakt ten przyczynił się jedynie do tego, że ludność Paryża tem większą okazywać poczęła królowi sympatyę, tem goręcej go przyjmowała, chcąc zatrzeć w jego umyśle niemiłe wspomnienie. Opatrzność czuwała nad młodym władcą, bo zamach się nie udał, a król nie odniósł najmniejszego szwanku.

Następnie udał się król Alfons do Anglii, gdzie zabawił dość długo, podejmowany również z ogromną



Bunt marynarzy w Kronsztadzie: Zbuntowani marynarze prowadzą aresztowanego obywatela do więzienia. Na lewo widać szczątki zdemolowanego mieszkania pewnego oficera marynarki, w głębi zburzony przez buntowników pałac admiralicyi. (Według fotografii).

sympatyą przez króla Edwarda, oraz przez ludność Londynu. Podróż do Anglii miała jednak oprócz osobistej ciekawości króla Alfonsa, jeszcze inną przyczynę. Hiszpania, która w ostatnim lat dziesiątku wskutek rozmaitych katastrof upadła, obecnie stara się wszelkiemi siłami podnieść na dawną wyżynę i stanąć znów w rzędzie mocarstw, z którymi liczyć się trzeba. Przedewszystkiem zaś zdoła to uczynić, jeśli się w niej rozwinie przemysł i handel, a do tego prawie konieczną jest pomoc Anglii. Podróż króla Alfonsa do Londynu miała więc i znaczenie polityczne, miała zacieśnić węzły, łączące obydwóch władców i przez to spowodować zbliżenie się rządów hiszpańskiego i angielskiego.

Taki sam cel miała również podróż króla Alfonsa do Berlina. W stolicy Rzeczy niemieckiej przyjmowano go z niebywałą pompą i przepychem. Cesarz Wilhelm urządził mu rzeczywiście królewskie przyjęcie.

Ostatnio przybył wreszcie władca Hiszpanii do Wiednia. Sędziwy monarcha, cesarz Franciszek Józef przyjął młodego króla, z którym go łączą węzły pokrewieństwa, z otwartemi rękoma. W dniu jego przyjazdu cała ludność Wiednia wyległa na ulice, witając przejeżdżającego króla entuzyastycznymi okrzykami. Alfons XIII. zwiedził kilka kościołów, był w krypcie kościoła OO. Kapucynów, gdzie się znajdują groby cesarskiej rodziny, okazując niezwykłe zainteresowanie się przeszłością Wiednia i jego dzisiejszym kwitnącym stanem. W Wiedniu zabawił król Alfons blizko tydzień, poczem wyjechał do Hiszpanii, dokąd go wzywały obowiązki władcy. Opuścił Wiedeń z żalem i nadzieją, że jeszcze kiedyś w nim będzie.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię króla Alfnsa, oraz dwa zdjęcia z jego pobytu w Wiedniu. Jedno z nich przedstawia chwilę, kiedy Alfons XIII. wychodzi z dworca północnego, druga wjazd króla w towarzystwie cesarza do Wiednia.

Po rzezi żydów w Odessie.

Naród żydowski, ze wszystkich narodów najbardziej nieszczęśliwy, bo niemający ojczyzny, niemający ziemi żydowskiej, w Rosyi szczególnie był znienawidzony przez motłoch i uciskany przez władze. Nic dziwnego, że w ruchu rewolucyjnym w Rosyi, w walce o wolność i prawa człowieka, żydzi wzięli masowy i energiczny udział. To właśnie było przyczyną, że czynownictwo rosyjskie jeszcze większą ku nim zapałało nienawiścią i dołożyło wszelkich starań, aby się na tych nędzarzach bez ziemi zemścić za to, że walczyli o wolność.

Wybuchły więc, już po nadaniu konstytucyi, we wszystkich prawie większych miastach Rosyi,



Król hiszpański w Wiedniu: Alfons XIII, król hiszp.

haniebne rzezie żydów, mordowanie bez litości i pamięci tych, którzy narodowi rosyjskiemu bratnią podali dłoń w walce o wolność i krwią swoją, na ołtarzu wolności przelaną, zasłużyli sobie na to, aby ich przynajmniej szanować tak, jak ludzi się szanuje i nie czynić im krzywdy.

Pisaliśmy już w kilku poprzednich numerach o rzeziach żydów, jakie urządziły czarne sotnie na ulicach Kijowa, Kazania, a zwłaszcza Odessy. Tam szczególnie rozhulały się morderce tłuszcze, tajemniczą ręką prowadzone i tam najobficiej polała się krew żydowska. Setki trupów zasłało ulice, setki zwłok, zmasakrowanych do niepoznania, grzebano przez kilka dni z rzędu na cmentarzu we wspólnych dołach i przysypywano wapnem, aby zapobiedz rozszerzaniu się chorób. Nie było nawet czasu i nie było komu grzebać nieszczęsnych ofiar nienawiści motłochu. Wysokie kopce na cmentarzu oznaczają jeno miejsca, gdzie tych nieszczęśliwych złożono na wieczny spoczynek. Smutne to groby, nie ozdobione ani tablicami, ani pomnikami. Wkrótce porośnie je trawa, na wiosnę zakwitną na nich polne kwiaty, których ciche tchnienia będą dla śpiących w mogiłach pieśnią żalu i wspomnienia.

Mnóstwo rodzin żydowskich, dawniej majętnych, pozostało w Odessie nie tylko bez grosza, ale i bez dachu nad głową. I tak szczęśliwi, że uszli z życiem, chociaż do tego życia nie mają nic, jeno kij żebraczy w ręce i tułaczą drogę przed sobą.

Na załączonej obok ilustracyi widać rodzinę żydowską, ocalałą wśród ogólnego pogromu. Zebrała się ta rodzina na podwórzu zniszczonego i zdemolowanego domu aby opuścić to miejsce na zawsze i znów gdzieindziej szukać ojczyzny i chleba. Co mieli jeszcze do wzięcia, to powiązali w toboły, rozrzucone po podwórzu. Usiedli jeszcze na przyzbach i pakunkach, jakby rozpamiętując cicho, co ich tu spotkało, jakby cichą łzą żegnali swoją sadybę, z której wychodzą na nędzę, radzi jeszcze, że wychodzą z życiem.

Nowa świątynia w Budapeszcie.

Przed 45 laty położono w Budapeszcie kamień węgielny pod nowy kościół, mający być momentalnem dziełem architektury, poświęconem czci narodowego patrona św. Szczepana. Olbrzymia świątynia, ozdobiona wspaniałą kopułą, była w roku 1868 już prawie gotowa, gdy pewnego dnia w lecie tego roku kopuła ta, będąca największą ozdobą świątyni, wskutek wadliwej konstrukcyi runęła i zniszczyła prawie zupełnie całą fasadę kościoła. Nie zraziło to jednak Węgrów. Budowę podjęto na nowo ze zdwojoną energią i w tym roku ją ukończono. Jest to gmach jednem słowem wspaniały, jeden z najbardziej godnych widzenia w stolicy Węgier, tem milszy dla Węgrów, że ta świątynia jest najlepszym dowodem jak wysoko stoi sztuka i architektura węgierska



Król hiszpański w Wiedniu: Alfons XIII wychodzi z dworca kolejowego.



Po rzezi Żydów w Odessie: Rodzina żydowska, której całe mienie zrabowali chuligani, zebrana na podwórzu zdemolowanego domu przed odejściem na tułaczkę.

Przestrzeń, na jakiej się wznosi ta monumentalna świątynia, równa się co do wielkości przestrzeni, jaką zajmuje kościół św. Szczepana w Wiedniu. Koszta budowy przenoszą cyfrę 9 milionów koron, z których większą część złożył Budapeszt.

Budowę prowadziło trzech architektów, Hild, Ybl i Kauser. Ten ostatni objął kierownictwo budowy po śmierci Ybla. Jego głównie zasługą jest nader starannie wykończona strona techniczno-artystyczna. Cały jednak zbudowany jest w stylu włoskiego renesansu. Fasada zwrócona jest ku cichej ulicy Zriny'ego. Wnętrze świątyni lśni od złota i przepychu. Przecudne freski, rzeźby i obrazy, wyszłe z rąk najlepszych artystów węgierskich, zachwycają oko każdego i zmuszają do uroczystego milczenia i wzniesienia się duchem ku niebu.

Pierwszą mszę św. w nowej świątyni, której poświęcenie odbyło się w ubiegłym tygodniu, miał odprawić prymas Węgier. Ponieważ jednak sędziwy kardynał Vaszary nie może celebrować tak długiego nabożeństwa, zaszczyt ten przypadł w udziale świeżo mianowanemu biskupowi z Kalocsy, drowi Varossy. Młody ten książę kościoła celebrował pierwszą mszę w świątyni narodowego patrona w otoczeniu kilkudziesięciu biskupów i dostojników kościoła. Na uroczystość tę przybyli wszyscy dostojnicy rządowi, prezydent gabinetu Fejervary, prawie wszyscy ministrowie, przedstawiciele armii, a z ramienia cesarza przybył arcyksiążę Józef wraz z żoną i synem. O godzinie dziesiątej rano rozbrzmiewały w świątyni olbrzymie organy, których dźwięk niósł się po bazylice uroczyście, poważnie, a rzewnie i pobożnie. Uczestnicy uroczystości poświęcenia bazyliki odnieśli niezatarte wrażenie tego dla całych Węgier pamiętnego dnia.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię, przedstawiającą nowo poświęconą bazylikę św. Szczepana.



Król hiszpański w Wiedniu: Wjazd króla Alfonsa XIII do Wiednia, z dworca północnego, w towarzystwie cesarza Franciszka Józefa I.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

11 (Dokończenie).

— Co, ty mnie przeklinasz? Haha! Z klątwy takiego ojca, jak ty, niewiele sobie robię! Czyż może jeszcze nie ujrzałeś, że zbrodniom twoim kres wkrótce nadejdzie? Toż to tylko jedna ofiara z pomiędzy wielu nieszczęśliwych, których zbrodniczo rzuciłeś na pastwę nędzy i sromoty!

Stary hrabia zaś, uwalniając się z uścisku, syknął przez zaciśnięte zęby:

— Co zrobiłem, to zrobiłem dla ciebie, chłopcze!

Zwrócił się ku wyjściu i wypadł z pokoju. W kilka chwil później był już w swoim gabinecie.

— Stracone! Wszystko stracone! — zawołał, opadając bezsilnie na krzesło. Jednak już po kilku minutach podniósł się znowu, podszedł do swego biurka i otworzył je.

— Jeszcze mam czas do ucieczki, a noc mi sprzyjać będzie!

Mówiąc to, otworzył tajną skrytkę w biurku, wyjął z niej kilka rulonów złota i pokaźną paczkę banknotów i włożył wszystko do kieszeni surduta, wraz z rewolwerem.

— Tak, więc miałbym już środki do życia i śmierci — zawołał, śmiejąc się i począł z rozmaitych szufladek dobywać jakieś papiery i kłaść je na stole, tak, że wkrótce utworzył się z nich cały stos. Wziął wtedy świecę i z nią i z tymi papierami podszedł do pieca.

— Wysłużyłyście się dosyć, wy, wierni świadkowie mojej działalności. Spalcie się więc i obróćcie w nicość, z której powstałyście.

Usiadł przy piecu na małym foteliku i rozpoczął swoją pracę. Zapalał arkusz po arkuszu od świecy i rzucał w ogień. Niektóre jednak oglądał bardzo starannie, zanim je miał ogień pochłonąć.

Nagle uczuł, że mu ktoś położył silnie rękę na ramionach. Przestraszony skoczył na równe nogi odwrócił się. Przed nim stał wysoki urzędnik policyjny w uniformie.

— A, pan Brepont — cieszy mnie, że pana tu widzę — zawołał hrabia, wyciągając ku niemu ręce. Jednak urzędnik nie podał mu swej dłoni; udał, że tego nie zauważył.

— Niestety — rzekł — jestem dzisiaj u pana w sprawie urzędowej — i wyciągnąwszy z kieszeni jakiś papier, dodał: — Oto jest rozkaz prokuratoryi, abym pana aresztować. Zatem w imieniu prawa aresztuję pana!

Hrabia zbladł wprawdzie, ale twarz jego nie zdradzała najmniejszego wzruszenia.

— O co mnie obwiniają? — zapytał spokojnie.

— O bratobójstwo!

— Tak? — ozwał się hrabia dziwnym głosem, wykrzywiając usta do szyderczego uśmiechu.

— Niejaki Karol Pommon — ciągnął dalej urzędnik — który niedawno zmarł, oddał komuś przed śmiercią starannie opieczętowaną kopertę z prośbą, by ją zaraz po jego skonie oddał prokuratoryi państwa. Tak się też stało. W prokuratoryi odpieczętowano kopertę, a treść pisma, w niej zawartego, skłoniła prokuratora do zarządzenia natychmiastowego aresztowania pana.

Twarz hrabiego pokryła się jeszcze bardziej bladością. Zdawało się, że ten starzec niezdolny jest do zniesienia ciężaru, jaki nań spadł tak nagle.

— Chciałbym jeszcze kilka spraw załatwić, zanim pójdę z panem — ozwał się wreszcie zmęczonym głosem. — Ile czasu mi pan na to użyczy?

— Mam wyraźny rozkaz natychmiastowego aresztowania pana, gdziekolwiek pana spotkam — odparł poważnie urzędnik.

— A więc żadnej łaski?

— Łaska nie leży w mej mocy. Chciałem panu jeszcze zrobić uwagę, że pozostawiłem przed bramą dwóch żandarmów i że zależeć to będzie jedynie od zachowania się pana, czy ich zawołam czy nie, a z pewnością pan sobie tego nie życzy, aby żandarmi musieli pana brać z tego tu gabinetu.

To oświadczenie odebrało hrabiemu wszelką nadzieję. Wiedział już, że nie może umknąć i nagle ujrzał przed swemi oczyma przepaść, której tak unikał, a której już teraz uniknąć nie mógł.

— A więc dobrze — jestem gotów! — zawołał szyderczo, zwracając się do urzędnika, poczem podszedł w głąb, jakby chciał wziąć kapelusz i palto, które tam wisiały.

Komisarz Brepont, stojący przy drzwiach, nie spuszczał wprawdzie ani na sekundę oka ze swego aresztanta, jednakże nie zdołał zauważyć, jak hrabia nagle wyjął z kieszeni rewolwer, kilka razy strzelił sobie w głowę i runął, zalany krwią i śmiertelnie raniony, na ziemię.

Huk strzału słyszało wprawdzie zaledwie kilkoro ze służby, ale wieść o zastrzeleniu się starego hrabiego rozbiegła się lotem błyskawicy po całym zamku. Wszystko, co żyło, pospieszyło na miejsce katastrofy, a jednym z pierwszych był syn nieszczęśliwego. Nie wiedział on nic, że jego przyjaciel, komisarz Brepont, znajduje się w pałacu, toteż, jak go tylko zobaczył w pełnym uniformie komisarza, odrazu wszystko zrozumiał. W milczeniu podali sobie przyjaciele dłonie.

— Przyprowadzić lekarza! — zawołał Jan po chwili, zwracając do służby.

— Już zapóźno — ozwał się komisarz — już skonał!

Młody hrabia przetarł czoło ręką.

— Dosięgła go ręka sprawiedliwości! — szepnął cicho, tak cicho, że nikt nie mógł jego słów zrozumieć. — Karząca go dosięgła Nemezis.

XIV.

Rehabilitacya.

Wiadomość o rewizyi procesu w sprawie zamordowania hrabiego Hugona Mironeau, wywołała w całym Paryżu niebywałą sensacyę. W sali rozpraw trybunału przysęgłych ścisk panował niezwykły. Bo też za chwilę miał się w tej sali rozegrać uroczysty akt rehabilitacyi niewinnie zasądzonych.

Szesnaście lat minęło właśnie od chwili, kiedy w tejsamej sali sędzia ogłosił wyrok, skazujący rządcę Bernere na śmierć, a jego żonę, Teresę, na 15 lat ciężkiego więzienia. Wtedy również sala ta zapełniona była po brzegi publicznością, ale jakżeż różną od tej dzisiejszej! Wtedy wszyscy byli oburzeni na morderców, których winę przysięgli jednogłośnie potwierdzili.

Dzisiaj miejsce to, świątynią sprawiedliwości zwane, zgoła inny przedstawiało obraz. Inni przysięgli, inni sędziowie, inni słuchacze; ale też inne uczucie mieli wszyscy w piersiach, aniżeli wonczas, przed piętnastu laty. Tylko jedno pozostało tosamo: akt oskarżenia i osoby oskarżonych.

Była godzina dziesiąta rano. Przysięgli, prokurator i trybunał zajęli już swoje miejsca; brakowało tylko oskarżonych. Wśród niczem niezamąconej ciszy, przewodniczący trybunału dał znak woźnemu, który otworzył boczne drzwi, wiodące do sali. W drzwiach ukazały się trzy postacie. Oparta na ramieniu swego obrońcy, doktora Girarda, szła czarno ubrana starsza kobieta, z gęstą woalką na twarzy, a za nią młoda, wysmukła niewiasta, również w grubej żałobie.

— Matka i córka! — szeptano sobie po cichu.

Już samo ukazanie się obydwóch męczennniczek, wywarło w całej sali olbrzymie wrażenie. Znano życie matki, a po części także i córki i wiedziano, że pierwsza jest żoną, a druga córką niewinnie ściętego na szafocie.

Ten i ów wyciągnął chusteczkę, aby otrzeć łzy, gwałtem się do ócz cisnące; ciche, tłumione łkanie rozległo się po sali. Wreszcie przewodniczący dał znak, że rozprawa się zaczyna.

Naprzód odczytano akt oskarżenia, taki sam, jak przed laty, w którym rządca Bernere oskarżony był o zamordowanie hrabiego Hugona Mironeau, a żona jego, Teresa, o współudział w morderstwie. Jako koronny świadek wymieniony był Karol Pommon, który miał widzieć, jak oskarżeni dopuścili się morderstwa.

Po odczytaniu aktu oskarżenia powstał przewodniczący i w krótkiej przemowie zaznaczył, że dzisiaj zebrał się trybunał i przysięgli nie po to, ażeby, jak zwykle, badać zbrodnię, ale, ażeby naprawić błąd, jaki sąd, wskutek fałszywej przysięgi głównego świadka, popełnił, skazując niewinnych ludzi na ciężkie kary.

Dla formalności zabrał teraz głos obrońca, dr. Girard. Spełniał on pewnego rodzaju obowiązek honorowy. On to bowiem dostarczył prokuratoryi papierów, pozostawionych przez Karola Pommon, w których tenże sam przyznawał się do morderstwa i krzywoprzysięstwa, oraz oddał władzy pisemny układ, jaki został zawarty między kusicielem do zbrodni a zbrodniarzem. „Chociaż jednak papiery Pommona zupełnie wystarczają do uniewinnienia oskarżonych, to jednak — mówił dr. Girard — są jeszcze dwaj świadkowie, którzy w tej sprawie mogą wiele powiedzieć, a mianowicie komisarz Brepont oraz proboszcz, który spowiadał Pommona na kilka chwil przed jego śmiercią".

Następnie zaczął mówić prokurator.

Naprzód skreślił w krótkich słowach obraz całego procesu z przed laty szesnastu, starając się udowodnić, że pomyłka sądowa, jaka wtedy zaszła, była prawie konieczną, gdyż wynikała z toku całej rozprawy.

— „Ludzie nie są wszystko wiedzący — ciągnął dalej prokurator — dlatego też, jako sędziowie nawet, mogą się mylić i dlatego niesprawiedliwością byłoby mienić ich winowajcami w tej sprawie. Zbrodniarzy, to jest hrabiego Mateusza Mironeau i Karola Pommona ukarać już nie można, bo ich Bóg przedtem powołał do siebie. Ale wyrok potępienia, który my jeszcze na nich wydamy, padnie klątwą na pamięć o nich i żyć będzie w pamięci ludu po długie czasy".

Przerwał na chwilę, poczem patrząc w oczy pani Bernere, która już zdjęła woalkę z twarzy, zaczął na nowo:

— A teraz, jako stróż prawa, zwracam się do panów przysięgłych z prośbą, aby na pytanie co do winy byłego rządcy Franciszka Bernere i jego żony, Teresy z Renaultów, odpowiedzieli jednomyślnie *„nie"* i w ten sposób przywrócili im utracony honor. W końcu, wyrażając pani Bernere moje szczere współczucie, zaznaczyć muszę, że ten akt rehabilitacyi powinien stać się dla pani balsamem ukojenia i pociechy. Przeszła pani bardzo wiele, przecierpiała pani bardzo dużo, niechże ten akt będzie dla pani nagrodą. My, ludzie, więcej dla pani zrobić nie możemy".

Po tych słowach podszedł do pani Bernere, która łkając słuchała jego słów i podał jej rękę.

— Winszuję pani tej chwili! Oby Bóg miłosierny, który panią tak ciężko doświadczał, odpłacił ci szczęściem za to, coś pani wycierpiała.

Przysięgli udali się teraz na naradę, ale po kilku minutach powrócili do sali. Zwierzchnik ławy donośnym głosem odczytał werdykt:

— Jednogłośnie uznani za niewinnych!

I trybunał udał się, dla dopełnienia formalności, na naradę, a gdy powrócił, przewodniczący ogłosił czekającej z zapartym oddechem publiczności, wyrok uwalniający.

W końcu przewodniczący zwrócił się jeszcze do pani Bernere.

— Lepiej niewinnie cierpieć, jak źle robić — zakończył swe przemówienie — i nawet ten wypadek, jakkolwiek przykry i straszny sam w sobie, przypomina nam przepiękne słowa z pisma świętego: „Którzy sieją wśród łez, w radości zbierać będą". Z nasienia cierpień, jakie pani rzucałaś w bruzdę czasu, przypadła pani w udziale jako dojrzały owoc ta godzina, która zmywa z pani i z śp. małżonka pani plamę zbrodni, zwraca pani szacunek i miłość bliźnich w większej jeszcze mierze. Pamięć niewinnie straconego małżonka pani, będzie dla wszystkich świętą!"

Zaledwie przewodniczący skończył, matka i córka, głośno płacząc, rzuciły się sobie w objęcia, podczas gdy publiczność, zgromadzona w sali, wygwizdywała okrzyki na ich cześć. Rozprawa była skończona.

* * *

Opowiadanie nasze dobiegło do końca. Musimy tylko dodać jeszcze kilka szczegółów.

Jak tylko hrabia Mateusz Mironeau został w grobowcu familijnym, bez dźwięku dzwonów i ceremonii kościelnych, jako samobójca pochowany, syn jego uznał za stosowne natychmiast opowiedzieć hrabiance Wilmie, jak rzeczy stoją. Oznajmił jej więc w sposób jak mógł najdelikatniejszy, że już od kilku lat jest żonaty i że kocha jedynie swoją żonę.

Oznajmił jej dalej, że skutkiem złej gospodarki ojca, stał się żebrakiem, bo jedyną panią majoratu jest ona. Bliższych szczegółów miała jej udzielić przełożona władza.

Mówił do niej długo i przekonywująco; słuchała, nie przerywając mu ani słowem, nie odzywając się doń zupełnie. Kiedy wreszcie skończył, powstała, spokojna na pozór, spojrzała nań dziwnym wzrokiem, w którym odbijał się cały bezmiar jej uczucia i bólu i odeszła.

Było to o godzinie ósmej wieczór.

Na drugi dzień o świcie, kiedy robotnicy przyszli do ogrodu, ujrzeli młodą kobietę w bieli, która przesunęła się cicho i bez szelestu, jak cień, przez ogrodowe aleje, stanęła nad stawem, ostatni raz spojrzała jeszcze na zamek, mieniący się właśnie cudownemi barwy wschodzącej jutrzenki i rzuciła się w wodę. Skoczyli więc na ratunek, ale że staw był głęboki, d piero po kwadransie zdołali odnaleźć nieszczęśliwą i wydobyć na powierzchnię ziemi. Zdrętwieli, spojrzawszy na zwłoki.

W zmarłej poznali hrabiankę Wilmę.

Nie było już co ratować. Za długo była w wodzie. Zostawili ją więc na brzegu, na murawie i posłali do zamku, aby zawiadomić hrabiego Jana o katastrofie.

Hrabia Jan wstał właśnie i wybierał się na dłuższą przechadzkę. Kiedy mu doniesiono, co się stało, zbladł, zachwiał się i nie mówiąc ani słowa, pobiegł na miejsce nieszczęścia.

Stała tam gromadka ludzi, ktorzy w rozmaity sposób komentowali straszną śmierć młodej hrabianki. Nie mogli jednak w żaden sposób dojść, dlaczego Wilma, do której przecie życie uśmiechało się tylko, wolała wybrać śmierć i to śmierć tak straszną, aniżeli żyć. O tem myślał też i hrabia Jan, kiedy zobaczył zwłoki nieszczęśliwej i nachylił się nad zmarłą.

Nie wyrzekł ani słowa. Nieopisane jakieś uczucie przytłumiło mu głos i ścieśniło gardło tak, że nie mógł dźwięku z ust wydobyć. Uklęknął przy zmarłej, ucałował jej usta i dwie duże łzy, będące najwymowniejszym świadkiem jego żałości i bólu, stoczyły mu się po policzkach.

Wreszcie podniósł się z ziemi i rozkazał zanieść trupa do zamku, a sam pobiegł naprzód, aby przygotować miejsce na tymczasowe schronienie dla zwłok, które postanowił z największą pochować uroczystością.

Dokonawszy tego, udał się do pokoju Wilmy. Na biurku jej znalazł nie zaadresowaną ani nie zapieczętowaną kopertę, pozostawioną widocznie przez zmarłą. Wyjął z niej list, ale jakież było jego zdumienie, kiedy zaczął czytać?! List był pisany tego dnia o drugiej po północy, a brzmiał następująco:

„Kochany Janie!

W chwili, kiedy ten list czytać będziesz, ja już żyć przestanę. Mogę ci więc otwarcie i szczerze powiedzieć to, o czem może wiesz, a może nie chciałeś wiedzieć, dopóki żyłam.

Kochałam cię, Janie, kochałam miłością dziewiczego serca, duszą cię całą kochałam od dziecka. Pamiętasz? W jasnych, radosnych dniach dzieciństwa byliśmy dla siebie bratem i siostrą, potem — sama nie wiem, jak się to stało — uczułam, że mi jesteś ponad wszystko droższy, że żyć bez ciebie nie potrafię. Kiedy wyjechałeś do Paryża, żyłam tutaj myślą o Tobie, bawiłam się tą myślą i byłam przekonana, że za rok, za dwa najdalej będę twoją żoną, twoją jedyną, kochaną i tak kochającą żoną! Nie myślałam o tem, że są na świecie inne kobiety, stokroć odemnie piękniejsze i lepsze, które prędzej mogą owładnąć twem sercem, jak ja, przekonana, że to serce niepodzielnie bije tylko i wyłącznie dla mnie, mój ty jedyny, drogi mój Janie!

Kochałam cię i kocham, w ostatniej godzinie mego życia wyznać ci to muszę, bo trzeba mi odwagi, muszę być spokojną teraz, a wyznanie to doda mi sił. Chcę, żebyś wiedział, żem ciebie tylko, ciebie jednego kochała.

Wyrwałeś mnie przed kilku godzinami z czarownego snu. Sam zburzyłeś najpiękniejsze kwiaty, zniszczyłeś najjaśniejsze przędziwa snów, rozesłane w mojej duszy, która żyła tylko miłością, a była była zbyt dumna, aby żyć mogła potem, kiedy jej najcudniejsze sny zburzono.

Nie myśl jednak, Janie, że ty stałeś się przyczyną mej śmierci. Nie myśl o tem, bo niszczysz przez to swoje szczęście, a ja nie chcę, abyś ty był nieszczęśliwy. Nie chcę i powiem ci teraz jeszcze, że nie ty byłeś mej śmierci przyczyną. Nie dociekaj, co nią było, proszę cię o to tylko, myśl o tem, abyś sam był szczęśliwy. Żyj błogo i wesoło z twoją Laurą, którą odemnie ucałuj na pożegnanie. Powiedz jej, że ją bardzo, a bardzo kochałam i że odchodzę na tamten świat szczęśliwa, wiedząc o tem, iż ona jest twoją żoną.

O jedno cię jeszcze poproszę. Pochowajcie mnie nie w krypcie rodzinnej, ale w ogrodzie, w zacisznej alei, tam, gdzie płaczące brzozy tworzą małą gęstwinę. A na grobie moim zasiejcie kwiaty, te, które najbardziej za życia lubiłam. Ja będę o was myśleć ciągle, bo przecie duchem żyć będę przy was. Zaś wieczorami, gdy słońce zachodzić będzie, czerwienią grób mój opromieni, przychodźcie na mój grób, ty i Laura i pomódlcie się za mną do Boga. Bo ja was oboje bardzo, bardzo kocham.

A teraz posłuchaj jeszcze ostatniej mej woli.

Powiedziałeś mi przed kilku godzinami, że cały majątek, należący dawniej do twego ojca, jest obecnie moją własnością i że mam prawo rozporządzać nim według własnej woli. Jako właścicielka majoratu oświadczam ci, Janie, że jedynym moim spadkobiercą jesteś ty i Laura, żona twoja. Jestto ostatnia ma wola; w biurku znajdziesz drugi list, adresowany do władz, w którym tę wolę moją powtarzam.

Bądźcie zdrowi, ty i Laura, moi najdrożsi na świecie. Nie zapominajcie o tej, która was tak bardzo kochała. Bądźcie szczęśliwi. Duch mój czuwać będzie nad wami. Żegnajcie mi, żegnaj najdroższy mój Janie

Twoja Wilma“.

List był pisany drżącą ręką, ale znać było później, że pisząc go, Wilma była już zupełnie spokojna.

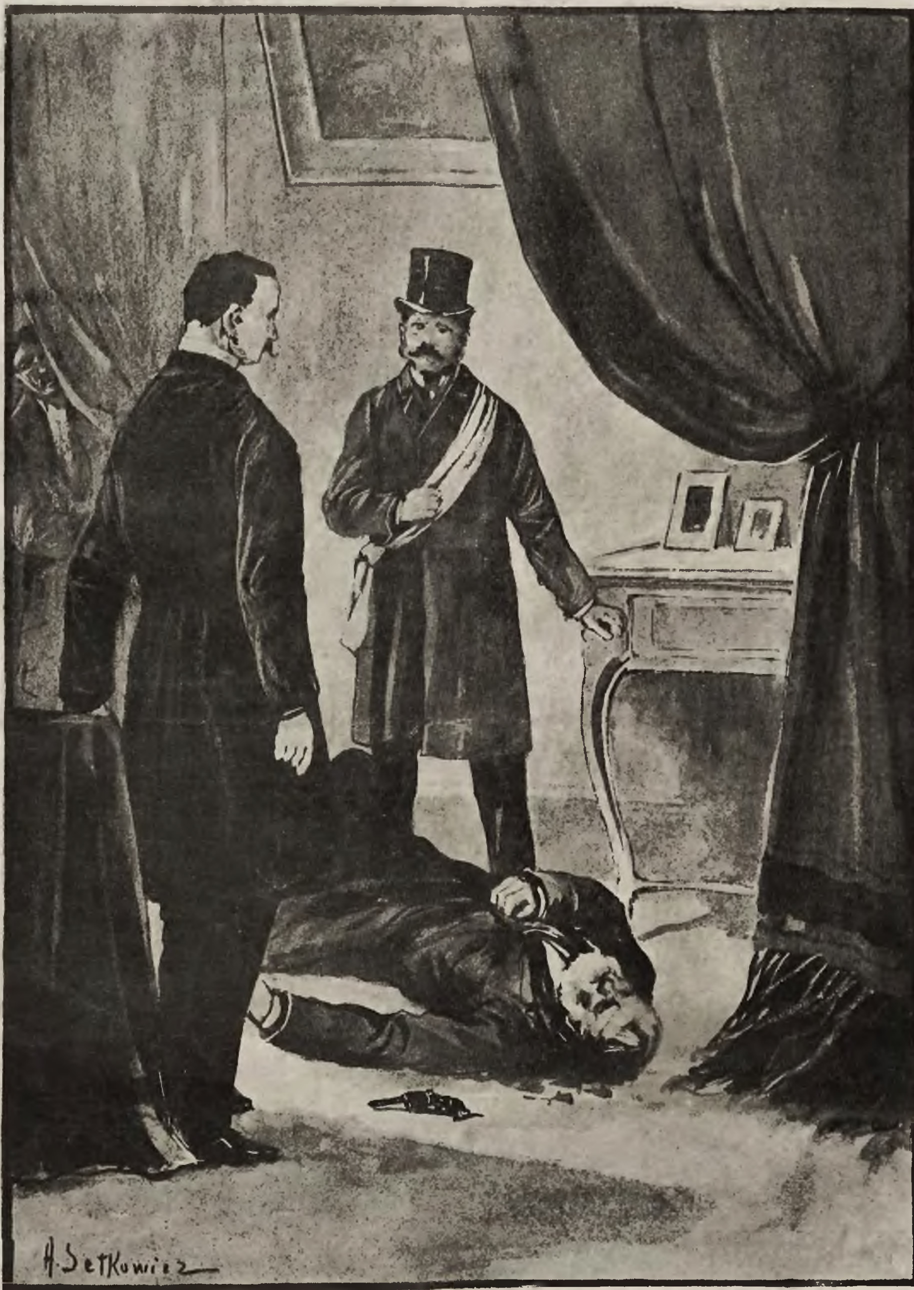
Jan stał chwilę jakby oszołomiony. Przycisnął list do ust i ucałował, płacząc ze wzruszenia i szepcząc:

— Cóżem ja winien, żem nie ciebie, Wilmo, pokochał? Cóżem ja winien?

Padł na kolana przed obrazem Bogarodzicy i modlił się wśród łez:

— Matko Zbawiciela! Wiesz, że nie jestem winny. Nie karz mnie za to, że zgrzeszyłem mimo mej woli i chęci i zmiłuj się nad nieszczęśliwą, która zmarła czysta, jak kwiat lilii, niesplamiony żadnem złem tchnieniem świata. Zmiłuj się nad nią, Matko!

Wstał pokrzepiony na siłach, poczem wyszedł z zacisznego gabinetu, w którym do niedawna mieszkała jeszcze Wilma i udał się do swoich apartamentów, aby wykonać ostatnie polecenia zmarłej i pochować ją tak, jak sama tego pragnęła.



...Już zapóźno — ozwał się komisarz — już skonał!

* * *

W kilka dni później przywiózł hrabia Jan z dworca dwie kobiety. Jedna z nich była młoda i anielsko piękna; to była jego żona, Gizela. Druga, starsza, siwowłosa już, była jego teściowa, Teresa Bernere.

Na mocy ostatniego rozporządzenia hrabianki Wilmy, został hrabia Jan uznany przez władze jedynym panem majoratu, gdyż i jego ciotka, Marya Mironeau, z wdzięczności dla niego, zrzekła się wszelkich praw do majątku.

Pewnego dnia, kiedy hrabia Jan siedział sam w swoim gabinecie, zajęty sprawami gospodarskiemi, przyszedł doń kamerdyner Jan, który teraz cieszył się szczególnymi względami hrabiego i doniósł mu znowu ważną — jak mówił — tajemnicę.

Oznajmił mu mianowicie, że przed kilku miesiącami musiał na rozkaz dawnego swego pana przewieźć w nocy do zamku Preneste pokojówkę hrabianki Wilmy, Klarę, która wtedy podobno popadła w obłąkanie. Z biegiem czasu kamerdyner o tem zapomniał i nie wie, co się stało z tą biedaczką, która również musiała paść ofiarą zmarłego hrabiego.

Wiadomość ta poruszyła hrabiego Jana.

Wstał, ubrał się i w kilka chwil później pojechał w towarzystwie Jana do Preneste.

Drzwi do zamku znaleźli otwarte, ale jakoś nie było widać starego kasztelana. Po długiem szukaniu zobaczyli go wreszcie w podziemnej piwnicy. Leżał bez życia na ziemi. Wnioskując ze sytuacyi, w jakiej go znaleźli, przyszli obydwaj do przekonania, że starowina, niosąc swojemu więźniowi pożywienie, spadł ze schodów i złamał kark. Późniejsza sekcya lekarska potwierdziła ich przypuszczenia. Hrabia zaczął obszukiwać trupa i znalazł w jego ręku klucz, prawdopodobnie od więzienia nieszczęśliwej.

W kilka chwil później weszli do piwnicy, stanowiącej więzienie nieszczęsnej pokojówki, którą znaleźli już prawie omdlewającą z głodu. Przewieziono ją do zamku, gdzie dzięki troskliwej opiece lekarzy, powróciła powoli do zdrowia. Opiekowano się nią bardzo starannie, młode jeszcze dziewczę odzyskiwało siły z dnia na dzień, a kiedy wyzdrowiała, została znowu tem, czem była dla hrabianki Wilmy, tj. wierną, dobrą pokojówką.

Henryk Bernere, który w ostatnich czasach zmuszony był w interesie swej firmy wyjechać do Anglii, został po powrocie do Paryża odszukany przez hrabiego, który pewnego pięknego dnia wrócił z nim do stolicy i przyprowadził go do matki i siostry.

Chwila zobaczenia się matki, która tyle cierpień przeszła, z synem, niewidzianym od dziecka, dzisiaj mężczyzną silnym, majętnym, była nad wyraz uroczystą. Łzy radości spływały ciurkiem po twarzy ciężko doświadczanej kobiety, kiedy pięknego, młodego mężczyznę, który był żywym obrazem jej męża, a jego ojca, przyciskała do serca.

— Bóg miłosierny wszystko na dobre zamienił! — szeptała pani Bernere, podnosząc wzrok dziękczynny ku niebu.

Hrabina Marya Mironeau, której umysł wskutek długoletniego więzienia znacznie osłabł, znalazła w pani Bernere wierną, pełną miłości i dobroci towarzyszkę. Obydwie te staruszki, ciężko dłonią losu dotknięte, można było widzieć codziennie, jak wziąwszy się pod ręce, przechodziły długiemi alejami parku. Co wieczora przyłączał się do nich hrabia Jan wraz z Gizelą i wszyscy udawali się na mogiłę Wilmy, przystrojoną kwiatami, gdzie w cichych, ale serdecznych modlitwach prosili Boga o litość i miłosierdzie dla nieszczęśliwej.

Zdarzało się czasami, że hrabina Gizela znalazła gdzieś w parku razem z matką zaciszny jaki kącik, gdzie mogły swobodnie gawędzić. I nieraz pani Bernere, czując się nadzwyczaj szczęśliwą na łonie szczęśliwej córki, opowiadała jej o swojej niedoli wtedy, kiedy była tylko biedną, przez wszystkich pogardzaną i odpychaną żebraczką i wśród łez gorących dziękowała Bogu, że tyle łaski okazał nędzarce i... córce żebraczki.

KONIEC.

Gimnazyum niemieckie we Lwowie.

Jest we Lwowie przy ul. Podwale, tuż obok wałów gubernatorskich, stara, brzydka, odrapana ze wszystkich stron rudera, o której urzędowym charakterze świadczy umieszczony nad bramą dwugłowy orzeł. Jest to lwowskie gimnazyum niemieckie.

Gimnazyum to jest zabytkiem i reminiscencyą *„der alten guten Zeiten“*, kiedy to Lwów i Galicya cała była z namiętnością przez centralne władze germanizowaną. W czasie owym nietylko we wszystkich urzędach używano języka niemieckiego, ale i szkołom średnim i ludowym narzucano ten język. Po długich usiłowaniach udało się wreszcie społeczeństwu naszemu prąd germanizacyjny złamać i wprowadzić język polski zarówno do urzędów, jak do szkół. Jedynie w gimnazyum II. zatrzymano język wykładowy niemiecki i stąd gimnazyum to nosi nazwę niemieckiego. I mimo kilkakrotnie wznawianych starań nie udało się dotąd niemczyzny z gimnazyum tego usunąć.



Gimnazyum niemieckie we Lwowie: Gmach gimnazyum niemieckiego przy ulicy Podwale.

A pojąć istotnie trudno, jaki jest cel podtrzymywania tego rozsadnika germanizacyi w stolicy kraju na wskróś polskiego. Ani względy ideowe, ani praktyczne nie przemawiają za tem. Sama statystyka uczniów tego gimnazyum jasno to wykazuje; na 445 uczniów w roku zeszłym do narodowości niemieckiej poczuwało się 238 uczniów, więc około 50%. Nie można jednak stąd wznosić, iż liczbie tej odpowiada liczba Niemców z urodzenia. Większa część uczniów, których *„Muttersprache“* jest język niemiecki, to żydzi, których dotychczas wielu z tradycyj i z przyzwyczajenia używa w mowie potocznej języka niemieckiego, a unika mowy polskiej. Niemców, uczniów tego gimnazyum, jest bardzo niewielu; garstka synów wyższych wojskowych, oficerów pułków stacyonowanych we Lwowie. A każdy przyzna chyba, że utrzymywanie dla drobnej, znikomej garstki tych uczniów osobnego gimnazyum, dziś, gdy w całym kraju jest tak niesłychany brak szkół średnich, jest rzeczą i niewłaściwą i ze stanowiska naszych narodowych potrzeb i interesów szkodliwą. Że potrzeba tego gimnazyum nie jest wcale gwałtowna, dowodzi również staty-

Nowa świątynia w Budapeszcie: Bazylika św. Szczepana, której poświęcenie odbyło się w ubiegłym tygodniu. (Treść na str. 9).

styka uczniów. Gdy we wszystkich gimnazyach polskich przepełnienie jest wprost niemożliwe, gdy liczba uczniów prawie w każdem z nich dochodzi do tysiąca, a w niektórych go przekracza, w gimnazyum niemieckiem liczba ta nie dochodzi do 500.

To też czynniki do tego powołane, powinny znowu zająć się żywiej sprawą spolonizowania gimnazyum II., aby stworzyć nowe miejsce nauki dla dziatwy polskiej. Budynek, w którym gimnazyum niemieckie się mieści, znajduje się obecnie w stanie zupełnego zaniedbania. Mury i sklepienia porysowane, sale szkolne i całe wnętrze budynku nie odpowiadają najprymitywniejszym wymogom hygieny. Nie ulega tedy wątpliwości, iż rząd będzie zmuszony do zamknięcia tej szkoły w niedalekiej przyszłości. Byłaby to najlepsza sposobność do ponowienia starań w kierunku usunięcia języka niemieckiego z tego gimnazyum, tak, aby w budynku nowym, który stanie na miejscu obecnej rudery, językiem wykładowym gimnazyum był język polski.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotograficzne budynku, w którym się mieści gimnazyum niemieckie.

Rewolucya wojskowa w Sebastopolu.

(Do ilustracyi na str. 2).

W chwili, kiedy rząd rosyjski odetchnął dopiero po zgnieceniu buntu marynarzy w Kronsztadzie, wybuchł znowu płomień rewolucyi wojskowej z niebywałą siłą na drugim końcu carskiego imperyum, w Sebastopolu. Ale pomiędzy buntem w Kronsztadzie, a rewolucyą w Sebastopolu, zachodzi olbrzymia różnica. Podczas, gdy marynarze kronsztadzcy zbuntowali się z błahej przyczyny i bunt ich był raczej podobny do ruchawek chuliganów w innych miastach Rosyi, gdyż marynarze plądrowali domy i sklepy i mordowali spokojnych mieszkańców, rewolucya sebastopolska miała charakter już nie buntu, ale rewolucyi wojskowej, z podkładem politycznym, rewolucyi świadomej środków i celu.

Rewolucya w Sebastopolu wybuchła wśród marynarzy; w krótkim jednakże czasie zdołali rewolucyoniści pociągnąć za sobą również i armię lądową, zwłaszcza baterye nadbrzeżne i pułki piechoty, załogujące w tej twierdzy. Komitet rewolucyjny chwycił energicznie całe rządy w swoje ręce, wobec czego zbuntowani żołnierze nie dopuszczali się nadużyć, co miało dla nich to olbrzymie znaczenie, że w trzecim dniu rewolucyi przyłączyli się do nich robotnicy i prawie cała ludność. Połączeni marynarze i robotnicy udali się w pochodzie z czerwonymi sztandarami na czele do koszar pułku, którego stanowisko było niezdecydowane. I cóż się okazało? Oto pułk przyjął zbuntowanych z entuzyazmem i przyłączył się do nich. Komendant



Walka z fiskalizmem: Dr. B. Skubiejski, dyrektor lwowskiego biura Tow. prawnej ochrony podatników.

twierdzy, szef dywizyi i wszyscy oficerowie zostali pojmani, rozbrojeni i uwięzieni. W przeciągu trzech dni cały Sebastopol znalazł się w rękach rewolucyonistów, którzy jednakże bardzo energicznie pilnowali porządku, tak, że nigdzie nie przyszło do zaburzeń ulicznych, chyba tylko między wojskiem wiernem rządowi, a rewolucyonistami. Ponieważ admiralicya rozkazała z bateryj nadbrzeżnych, których załoga w pewnych punktach jeszcze się nie połączyła z rewolucyonistami, prażyć okręty zbuntowanych, rewolucyoniści wytoczyli na brzeg armaty i skierowali je na twierdzę.

Przestraszona ludność wyległa więc na ulice, przekonana, że rewolucyoniści będą bombardować miasto. Robotnicy rewolucyjni ruszyli z uroczystym pochodzie z czerwonymi sztandarami nad brzeg morza, aby się porozumieć ze zbuntowanymi artylerzystami. Po krótkiej wymianie zdań dowiedzieli się robotnicy, że wojsko nie zamierza bynajmniej niszczyć mienia mieszkańców, a armaty zwrócone



Walka z fiskalizmem: Jerzy hr. Baworowski, poseł na Sejm i prezes Tow. prawnej ochrony podatników.

są na koszary wojsk, które się jeszcze nie przyłączyły do rewolucyi i na twierdzę. Kilkutysięczny tłum połączył się więc z wojskiem.

Sytuacya doszła w ubiegły piątek do tego stopnia, że rewolucyoniści zamierzali ogłosić rząd prowizoryczny. Położenie było dla rządu rosyjskiego tem groźniejsze, że rewolucyoniści przejęli wszystkie depesze, żądające przysłania kozaków i wogóle wojska. W chwili, gdy to piszemy, rewolucya została już podobno zgnieciona. Dowództwo nad wojskiem, mającem stłumić rewolucyę, objął admirał Czuchnin.

Ze strajku kolejowego w Moskwie.

(Do ilustracyi na str. 3).

Hasło do strajku kolejowego w Rosyi, do strajku, który był najbardziej w skutki obfity i w przeważnej części przyczynił się do tego, że manifest konstytucyjny wydany został już dnia 31 października, wyszło, jak wiadomo z miasta, będącego sercem Rosyi, z Moskwy, dawnej stolicy carów, ze świętej Moskwy, która dla prawosławnych jest tem, czem Rzym dla katolików. Tam pierwsze stanęły pociągi, a zaraz za Moskwą poszły różne większe miasta, centra fabryczne i przemysłowe, którym strajk kolejowy dotkliwie musiał dać się we znaki.

Kolejarze rosyjscy, jakeśmy to już niejednokrotnie mieli sposobność zaznaczyć, byli doskonale zorganizowani i tak solidarni, że w podziw cały świat wprawili. Dość powiedzieć, że strajk trwał blisko trzy tygodnie, a nigdzie nie tylko nie starano się go złamać, ale owszem, robotnicy sami czuwali nad tem, ażeby nie dopuścić do przywrócenia ruchu kolejowego z pomocą wojska.

Rząd bowiem usiłował z początku zgnieść strajk przez to, że miał zamiar przywrócić ruch kolejowy, zastępując robotników żołnierzami. Kolejarze nie dopuścili do tego. Byli oni zdecydowani pogruchotać wszystkie lokomotywy raczej, aniżeli przerwać strajk i ustąpić przed zwycięstwem. Zdarzały się nawet wypadki, że puszczano na siebie dwie lokomotywy całą siłą pary i druzgotano je w ten sposób. Szczególnie zaś obawiał się rząd podobnych ekscesów w Moskwie.

Aby więc temu zapobiedz, obsadzono wszystkie dworce w Moskwie wojskiem, które miało powstrzymać napór strejkujących, gdyby ci chcieli niszczyć maszyny. Naturalnie przychodziło między strajkującymi a wojskiem niejednokrotnie do krwawej rozprawy.

Walka z fiskalizmem.

Prawdziwą zmorą i klęską kraju naszego jest osławiona „śruba podatkowa", ciążąca na dźwigającym się zwolna przemyśle i handlu, a nikogo nie oszczędzająca. Bezwzględność, z jaką austryackie władze skarbowe gnębią podatników, weszła już u nas w przysłowie. I przez długi szereg lat podatnicy ci uginali się z rezygnacyą pod ciężarem fiskalizmu, znosili go jako „dopust Boży". przeciw któremu niema rady, niema pomocy. Ostatecznie jednak cierpliwość potulnych podatników przeszła granice możliwości; objawiła się wśród nich reakcya, a wyrazem jej było założenie przed dwoma niespełna laty we Lwowie towarzystwa „prawnej ochrony podatników".

Inicyatywę do założenia tego towarzystwa dał młody, ruchliwy ekonomista, autor kilku większych prac z dziedziny statystyki i ekonomiki, dr. Zygmunt Gargas. Za cel wzięło sobie Tow. prawnej ochrony podatników udzielanie porady prawnej mieszkańcom Galicyi we wszelkich sprawach podatków bezpośrednich i pośrednich, należytości stemplowych i prawnych i t. d., sporządzanie w tym celu próśb, podań, rekursów, zażaleń do wszystkich instancyi władz skarbowych, a dalej dążenie za pośrednictwem posłów do sejmu i Rady państwa do zmiany praktyki władz podatkowych, przeciwdziałanie ich samowoli i nadużyciom.

W tym celu utrzymuje towarzystwo dwa biura: we Lwowie i Krakowie, pod kierownictwem sił fachowych, b. urzędników konceptowych dyrekcyi skarbu, znających i w teoryi i w praktyce wszelkie ustawy podatkowe, okólniki ministeryalne a przedewszystkiem owe niezliczone i nimbem tajemniczości otoczone subtelne kruczki fiskalizmu.

Dzięki temu, biura towarzystwa w ciągu kilkunastomiesięcznej swej działalności, przeprowadziły z zupełnie pomyślnym wynikiem mnóstwo spraw szczegółowych, powierzonych im przez członków, ratując wcale pokaźną sumę przed nienasyconym molochem fiskalizmu, a przedewszystkiem wywalczyły w kilku sprawach podatkowych zasadnicze orzeczenia trybunału administracyjnego na korzyść podatników.

Na czele towarzystwa „prawnej ochrony podatników" stoi jako prezes, młody, ale bardzo dzielny i ze sprawami fiskalnemi doskonale obznajomiony poseł sejmowy, Jerzy hr. Baworowski, obok niego zaś pracuje w wydziale towarzystwa cały szereg ludzi, znanych w społeczeństwie i dla tego



Walka z fiskalizmem: Dr. Z. Gargas, inicyator i sekretarz Tow. prawnej ochrony podatników.

społeczeństwa zasłużonych. Kierownikiem biura we Lwowie jest dr Bronisław Skubiejski, kierownikiem biura filialnego w Krakowie dr. Bolesław Zieliński.

W uzupełnieniu niniejszego artykuliku zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety: prezesa tow. prawnej ochrony podatników posła J. hr. Baworowskiego, inicyatora założenia tow., dra Zygmunta Gargasa i dyrektora lwowskiego biura dra Bronisława Skubiejskiego.

Zygzakiem.

List p. Marcina Ciołek Rypalskiego, właściciela dóbr z pod Myślenic, do żony Bibianny z Kwiatków Rypalskiej z opisem wrażeń, doznanych w Krakowie.

Moja droga towarzyszko życia Bibciu!... Jestem nareszcie w Krakowie i stoję w hotelu Pollera pod numerem piątym, gdzie listy adresować należy. Zaraz po przyjeździe spotkała mnie na dworcu kolejowym mała nieprzyjemność, wzięto mnie bowiem za emigranta do Ameryki. Dyabli wiedzą dlaczego. Portyer w hotelu, któremu o tej przygodzie opowiadałem, powiada, że to pewnie moje buty i czapka, oraz twój, Bibciu, kuferek, do którego futeralik z taką miłością własnemi rączkami wyhaftowałaś, stały się tego przyczyną. Zdumiałem się, bo, jako żywo, ani na moich butach, ani czapce nic amerykańskiego nikt nie spostrzegł, a nawet pan naczelnik sądowy z Mszany dolnej, co przecie jest człowiek ogromnie mądry, bo był prokuratorem, porównywał te części mojego ubrania do mundurów gwardyi ojca świętego. Ale stało się — wzięli mnie za emigranta, a jako z takim, odbył się ze mną specyalny proceder. Bo trzeba Ci wiedzieć, Bibciu, że tu w Krakowie na stacyi kolejowej jest cały urząd, a nawet kilka urzędów, którym ogromnie na sercu leży bezpieczne przewożenie ludzi do Ameryki. Niektóre urzędy są nawet ogromnie popierane przez władze bezpieczeństwa, a popieranie to odbywa się w ten sposób, że straż, postawiona na dworcu kolei dla czuwania nad porządkiem, ma taki przepis, że jednych agentów emigracyjnych ma widzieć, a do drugich ma się obracać plecami. Dopiero gdyby emigrant nie chciał się poddać takiemu naganiaczowi z za pleców, wpada straż bezpieczeństwa i opornego emigranta bierze jako podejrzanego na spytki, dopóki nie namyśli się i nie kupi *„szyfkarty"* od protegowanej firmy. Ja ci, Bibciu, nic o tych zwyczajach nie wiedziałem, więc wpadłem jak mucha do mazi. Daremnie się sumituję, że do Ameryki nie jadę, daremnie powołuję się na naszego księdza proboszcza i na Ciebie, Bibciu, jako na wiarygodnych świadków. Rozgniewany agent zawołał stróża bezpieczeństwa z pod ciemnej gwiazdy *recte* z pod półksiężyca, a ten do mnie: „Niech si pan tu ni stawia, bo żeby pan naweć tu przyprowadził ksiondza, to ja tu jest od *„Dyrekcpolicyi"* i od nieporządku". I bierze mnie, Bibciu, za kołnierz, wpija mi palczyska w ten karczek, który Ty, moje kochanie, tak niegdyś klepać lubiłaś i powiada, że mnie zaprowadzi pod jakiś telegraf. Mówię mu: „Człowieku, nie chcę telegrafować", a on mi na to: „niech si pan ni stawia, nie bedzi pan tyligrafować". — „No to pocóż pod telegraf"? pytam. „Bo pan jest „podejrzany".. Przeżegnałem się i zacząłem koronkę do Matki nieustającej pomocy — bo przypomniałem sobie, że ks Duda na misyach mówił, że ta koronka we wszelkich opresyach i rozbojach jest wielce skuteczna... I oto przyszła mi pomoc jak z nieba. Gdy już tak idziemy telegrafować tez drutu, przychodzi do mnie Żydek wcale na gębie gładki i mówi po cichu: „Panie dobrodzieju, pan może ma do zmienienia ruble albo marki, ja panu tu w trzeciej klasie zmienię tanio, a za to powiem temu panu od policyi, to on pana zaraz puści". Nie wierzyłem, ale tonący gorącej żagwi się chwyta, więc rzekę: Dobrze — zwłaszcza, że miałem przy sobie te stare ruble, wiesz Bibiu, cośmy sobie jeszcze z Warszawy nierozmienione przywieźli. I powiadam Ci, jak ręką odjął. Żydek szepnął coś do policyanta i byłem wolny, ale za to on złapał mnie za rękę i ciągnął w stronę restauracyi trzeciej klasy. W korytarzu widziałem całe tłumy chłopów tak samo ciągnionych w tę stronę. Dowiedziałem się później, że ten żydek ma urzędowy zakład do zmiany pieniędzy i transportu ludzi do Ameryki i że te swoje interesy prowadzi pod specyalną opieką stróżów bezpieczeństwa. Mówili mi, że przez to biuro może się człowiek dostać nawet tam, gdzie nie chce. Bardzo mnie też ucieszyło, że krakowska władza taka jest nad dobrem ludu czuwająca. Do tam zaraz, że na zmianie rubli zostałem orżnięty, ale mi nie żal. Dałbym i więcej, tak jak nieraz podobno inni dają, byleby się wydobyć z kłopotu.

Później też dowiedziałem się, co jest ten telegraf. Otóż, Bibciu, to jest taki urząd, gdzie można się przespać za darmo, można mieć niezły wikt, kąpiel, masaż, jako że wszyscy tam służbę pełniący w tym interesie się ćwiczą — ale mimo tych wszystkich przyjemności, jestto prosta furdyga i nic więcej. Ładniebym też wyglądał — ja, ojciec dzieciom — we furdydze — co?

Kolacyę zjadłem *lege artis* u Miętusa przy Szpitalnej, a dowiedziawszy się, że jest w mieście jakiś cyrk, w którym biją się nagie chłopy, o 1000 koron, poprosiłem jednego bardzo sympatycznego „radcę" podobno kolejowego bywalca i wyjadacza *ut figura docet*, czyby mi nie zechciał towarzyszyć na te walki byków. Kropnęliśmy parę *„vivatów"* *lege artis* i poszliśmy. Ach, Bibciu, aż mi się płakać chciało, żeś Ty ze mną nie była i nie widziała tych śliczności. Publika krakowska, powiadam Ci, wyła z radości i ja z nimi, a jak się pokonał jeden, Cyganiewicz, to już ci końca nie było wrzaskom. Poczciwe chłopcy, te krakowiaki, zawsze umią swego uczcić i prawdziwy polski patryotyzm okazać. Jakiegoś brazylijczyka, to ci dzielne polskie junaki pokłuły scyzorykami w ciemnej ulicy, za to, że się jakoś niedobrze bił z Cyganiewiczem. Dzielna młodzież, dzielny lud i z tych z pewnością coś będzie... A warto widzieć jako się te chłopy biją... Ciłopy. Bibciu, niczem nasz furman Mikołaj; ten Cyganiewicz ma ci takie ręce grube, jak nasza stara księża gospodyni nogę w kłębie, a Jankowski w pasie będzie taki, jak pani burmistrzowa. Z początku, to się tak niby lekko biorą, ale potem jak się zaczną prać, gdzie który trafi, to aż Ci para z nich idzie i tak coś strzela, jak z pistoletu. Radca mówił mi, że im tak skóra trzeszczy, ale to nie musi być prawda.. Zresztą, kto tam wie... Przy takiem natężeniu... Zwycięża ten, kto drugiego przywali i sam na nim legnie.

Zabawiwszy się tak godnie pierwszego wieczora, miałem już na drugi dzień dobry humor i fantazyę do interesów. Najpierw tedy sprawy publiczne.

Jak Ci wiadomo, miałem polecenie, abym się zgłosił do prezydenta miasta, imieniem naszej rady, by mi raczył udzielić wskazówek, co do gospodarki miejskiej na sposób krakowskiego ekonomatu, by mi w krótkości powiedział, jak się buduje port wojenny, bo taki już stawiają w Krakowie na Rudawie, oraz jak się to robi wybory, żeby partya „nasza" miała zawsze większość.

Urżnąłem się w czamarę, buty kazałem wyczyścić na *„glanz"* wypiłem dwie kawy u Sauera, przeczytałem przedwczorajszy „Czas", (przyjemnie mi było zobaczyć w Krakowie tę samą gazetę, którą już w domu razem czytaliśmy) i walę do magistratu. Czekałem dosyć długo i oglądałem plany p. Zawiejskiego na teatr ludowy, który nie będzie postawiony, bo niema pieniędzy i ponieważ jakiś inny pan dyrektor, wdowiec po sławnej artystce Hoffmanowej, (pamiętasz Bibciu, co to nam o niej śp. babcia tyle opowiadała) tego sobie nie życzy... Otóż narescie wchodzę do pana prezydenta. Nazywa się Leo i jest Polak. Jego brat był sekretarzem archiwum górniczego we Wieliczce. (Wieliczka, Bibciu, jest to miejsce, gdzie sól kopią). Ten prezydent uścisnął mnie kordyalnie, ale prosił mnie na kiedyindziej, gdyż tego dnia okropnie był zajęty. W istocie, co ten biedny człowiek się nie napracuje. Powtórzę Ci, Bibciu, jego zajęcia prezydyalne tego dnia: Położenie kamieni węgielnych pod kilka nowych Frydlajnówek, (są to małe budki na plantach dla wygody publiczności), uroczyste spuszczenie sadzawki na plantacyach, takie samo nakręcenie zegaru na gmachu Izby handlowej, wysłanie telegramu do miasta Warszawy: „Kochajmy się", śniadanie u Wenzla, podpisanie odezwy do mieszkańców miasta, aby czekali cierpliwie na zaprowadzenie kanałów i elektryczności, uroczyste wypuszczenie w świat nowej biblioteki dkioprawcy miejskiego, pogodzenie sporu o zdechłą krowę między panem weterynarzem a rzeźnikami z Piasków, troszczenie się tem cięższe, że bezskuteczne, o tanie mięso, pogrzeb wdowy po byłym radcy miejskim, obecność przy winobraniu w piwnicy p. Federowicza, a wreszcie kolacya w Grand-hotelu, zjedzona w interesie gminy z przedstawicielami jej wierzycieli, którzy przyjechali po procenta, na które trzeba zaciągnąć pożyczkę! To jest człowiek, hę? Widzisz, Bibciu, jak strasznie ludzie na świecie pracują!...

Nic tedy u prezydenta nie wskórawszy, poszedłem za drugą sprawą, a mianowicie, co do budowy kolei przez nasze miasto. Wchodząc do budynku dyrekcyi kolejowej na Kleparzu, zauważyłem okrutny ruch, bieganinę. Stoję i patrzę zdziwiony, wtem z drugiego piętra pędzi mój znajomy pan dr Ignacy Wróbel. „A, kochanego jurysty, sługa". Przystanął, spojrzał. „Czego pan sobie życzy?.. „A, kochany jurysto, mówię, przyjechałem w imieniu burmistrza, żebyście raz przecie zjawili się u nas i zaczęli jakoś budować tę kolej"...

Złapał się za głowę. „Panie, co się panu śni — trafił pan nie w porę, dyrektor podał się do dymisyi"... „Jakto, pytam, znowu coś nowego wyszło?"... „Nic, nic nie wyszło, ale mogłoby wyjść i dlatego"... Uścisnął mnie, a gdy go chciałem jeszcze zatrzymać, bo to lnby chłop i jurysta, wołał tylko: „Podgórze Płaszów, Podgórze-Płaszów" — i poleciał... „Pewnie jest tam jakiś ostry karambol", pomyślałem — i poszedłem do hotelu.

Tak pożytecznie spędziwszy dzień i załatwiwszy, co było najważniejszego, wybrałem się wieczór do teatru, czego mi, Bibusiu, za złe nie bierz, bo Bóg mi świadkiem, że nie na podwiki się gapić, jeno sztuką ducha narodowego zbudować chciałem. Trafiłem w teatrze prezydenta sądu, starego kolegę z „normałki" no i podczas całej sztuki gadu, gadu, ja o swoich kłopotach, on o swoich. Skarżył mi się biedaczysko, że mu radcy punktualnie do biura nie przychodzą, że aresztanci nie chcą jeść kunerolu, tylko słoninę, i że za mało ma kryminalistów, wskutek czego nie ma komu sprzątać biur sądowych.

Co do sztuki w teatrze, grali jakiś „Skarb" ale przyznam ci się, Bibciu, że nic nie wiem, o co tam chodzi. Była jakaś sucha hajdyga, co grała jakąś kiepską waryatkę, był strażnik skarbu, jej mąż, który strzegł skarbu swojej żony, którego wcale nie było, był jakiś kurek na kościele, co gadał... A niechże ich pokręci... odetchnąłem u Hawełki... Wracam pojutrze. Łapki Ci całuję

Twój Marcin.



„Czerwony bukiet"

Komedya w 3 aktach T. Rittnera (Premiera z dnia 2 grudnia 1905).

„Sztuk", „scen z życia", „aktów" nie brak, ale na porządną komedyę nikt jakoś zdobyć się nie może. I panu Rittnerowi się to nie udało.

Duduś Golewski bawi się w mecenasa sztuki i protektora talentów. Proteguje Adę Anielską, aktorkę bez talentu, Józefa Mielskiego muzyka z prowincyi, jakiegoś redaktora, wszystkim obiecuje nadzwyczajne awanse w życiu, sam nawet wierzy w ziszczenie tych nadziei, ale do tego wszystkiego brak Golewskiemu pieniędzy i potrzebnych wpływów i stosunków. Z tego stanu rzeczy wynika cały szereg rozczarowań, a wszyscy protegowani kończą na tem, że Golewski przyrzeka im różne posady przy... hotelu, w którym ma być rządcą.

Zaletą sztuki jest tu i ówdzie trafna, dobrze podchwycona charakterystyka osób, przeprowadzona fotograficznie, tj. jedno migawkowe zdjęcie, bez tego co przedtem było i bez tego co nastąpi.

Wadami jej są: brak akcyi, brak związku między scenami a nawet postaciami, nuda, która z każdego kąta czyha na biednego widza, brak szczerości w tworzeniu i płytkość w pomyśle. Tak „robionej" rzeczy już dawno nie było na scenie. Pan Rittner powinien trochę jeszcze wypocząć po „Małym domku", bo jeżeli w jego lotnej twórczości, będą takie same odskoki, jak między „Czerwonym bukietem" a „Małym domkiem", to gotów nam p. Rittner uciec zupełnie z horyzontu naszej literatury, i zniknąć w zaciszu „poufnego teatrzyku" we Wiedniu.

Mimo pewnego talentu poetyckiego, nie wróżymy p. Rittnerowi wielkiej przyszłości literackiej, bo to człowiek, który nie wie gdzie i dokąd należy. Nie ma, bo mieć nie może ukochania tego co polskie, brak mu także szczerej polskiej kultury, a do niemieckiego społeczeństwa, do którego gwałtem się garnie, utrudnia mu dostęp połowiczność jego wychowania. Stąd rozłam, stąd brak szczerości, stąd chęć pozowania na ogólno-ludzkiego pisarza, chęć bezsilna, wiadomo bowiem, że tylko indywidualność związana kulturą i miłością z jednem społeczeństwem i jednym zawodem, stwarza prawdziwe i głębokie dzieła.

Sztuka była grana poprawnie. Na pierwszy plan obok p. Zelwerowicza, wybił się p. Walewski w roli Kurka, właściciela kamienicy, którego publiczność oklaskiwała przy otwartej scenie.

Cóż jednak znaczy ten „Czerwony bukiet"? Nic. Wnoszą go trzy razy na scenę, a sztuka kończy się słowami: „Życie ludzkie jest czasem takie, jak ten piękny „czerwony bukiet"... Możnaby równie dobrze powiedzieć: jak ta beczułka, jak ta flaszka wina, jak te pióra strusie, jak ten połeć słoniny, jak niektóre talenty literacko-sceniczne, i jak niektóre dyrekcye, które wystawiają lichoty pod firmą literackiego repertuaru!...

vide.

Straszna katastrofa na morzu.

Żegluga morska, jakkolwiek dzisiaj środki lokomocyi na morzu są niesłychanie ulepszone i udoskonalone, nie jest jednakże do dziś dnia tak doskonałą aby nie groziła zupełnie niebezpieczeństwem. Wprawdzie okręty parowe są już dostatecznie zaopatrzone w środki, mogące stawić skuteczny opór nawałnicom i burzom, wprawdzie podróżni nie są już dzisiaj zdani na kapryśną łaskę wiatru, bo mogą płynąć w pewnym, ściśle określonym kierunku, ale zawsze jeszcze pozostaje niebezpieczeństwo, groźne, bo prawie niezwyciężone, a niem jest niezbadane dotychczas należycie dno morskie. Najlepszy nawet statek parowy, urągający burzom i wichrom, może każdej chwili łatwo się roztrzaskać o skały podwodne, których gołem okiem nie można dojrzeć w najbardziej jasny dzień, a co dopiero w nocy, lub podczas mgły, gęstej, nieprzebitej siłą oka, mgły, jaka się czasem rozpościera nad olbrzymim obszarem morskich wód.

W ubiegłym tygodniu doniosły telegramy z Francyi, że w kanale La Manche miała miejsce przerażająca swym ogromem katastrofa okrętowa, która pociągnęła za sobą 123 ofiar w ludziach. Angielski parowiec „Hilda“ należący do południowo-zachodniej kompanii żeglugi morskiej, natknął o godz. 4 rano wskutek mgły i burzy pod wyspą Lesambre na skałę i zatonął. Burza rozszalała się dopiero po północy, tak, że pasażerowie, którzy udali się w najlepszej myśli na spoczynek, spali zamknięci w kajutach, nie myśląc nawet o możliwem niebezpieczeństwie. Spała również załoga, zmęczona całodzienną pracą, z wyjątkiem kapitana i sternika, w których ręku spoczywał los okrętu i pasażerów. Mgła rozsiadła się nad morzem tak gęsta, że okręt poruszał się jak jaki czarny ptak w oparach bladosinych chmur. Po godzinie trzeciej morze się uspokoiło, mgła jednak stawała się coraz gęstszą, niebezpieczeństwo więc wcale się nie zmniejszyło. Naraz okręt zachwiał się, zatrząsł, jakby uderzony kulą armatnią, pasażerowie usłyszeli nagły huk, trzask łamiących się desek i głuche bulgotanie wody w dolnej części statku, który stanął i począł coraz bardziej zagłębiać się w wodę. W kajutach rozległy się w tej samej chwili okropne jęki, krzyki, błagania o litość i pełne grozy klątwy. Pasażerowie zerwali się z łóżek i wybiegli na pokład w obłędnej trwodze, przerażeni, tratując się nawzajem. A okręt tonął coraz gwałtowniej, woda coraz bliżej sięgała pokładu, na którym zamieszanie dobiegło do szczytu. Jedni z pasażerów stali nieruchomi, patrząc błędnym wzrokiem na rozesłane wokół morza mgły, drudzy padali na kolana, szukając w modlitwie pociechy i ratunku, inni wreszcie, odważniejsi, wskoczyli do łodzi, jakie na prędce spuszczono i powierzyli swoje losy łasce fal. Dwie łodzie odpłynęły z kilkunastu pasażerami, a odpłynęły w ostatniej chwili, bo właśnie kiedy odbijały od okrętu, woda zalała już pokład, niosąc śmierć pozostałym. Kapitan okrętu do ostatniej chwili wytrwał na posterunku i zatonął wraz z tymi, którzy życie swoje jemu powierzyli. Jednak i ci, co na łodziach szukali ocalenia i ratunku, nie wszyscy uszli z życiem. Jedna łódź rozbiła się koło Saint Cast, gdzie znaleziono zwłoki 13 podróżnych, którzy prawdopodobnie znajdowali się na tej łodzi, druga dopłynęła szczęśliwie do Saint Malo z 5 osobami, z których jedna należała do załogi „Hildy“. 123 osób stało się więc pastwą tej strasznej katastrofy. — Pasażerowie „Hildy“ składali się przeważnie z mieszkańców portowego miasteczka Roscof, trudniących się ogrodnictwem, a jarzyny swoje, mianowicie cebulę i szparagi, daleko poza granice Anglii wywożą. Śmierć tylu i najlepszych ogrodników, jest dla tego miasteczka niepowetowaną klęską.



Straszna katastrofa na morzu: Rozbitki z „Hildy“, jedyni, którzy ocaleli i szczęśliwie dopłynęli do Saint Malo.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok trzy ilustracye. Jedna z nich przedstawia resztki „Hildy“ wystające z wody na miejscu katastrofy,

Straszna katastrofa na morzu: Ludność miejscowości St. Cast wyławia z morza szczątki „Hildy“ i zwłoki potopionych pasażerów.

druga wyławianie trupów ofiar tej katastrofy na wybrzeżu wysepki Lesambre, trzecia zaś przedstawia grupę osób, które zdołały ujść z życiem, dopływając szczęśliwie do Saint Malo.



Straszna katastrofa na morzu: Resztki rozbitego okrętu „Hilda“, wystające ponad wodą koło wysepki Lesambre.

Przybycie Hakona VII. do Norwegii

Zaznaczyliśmy w poprzednim numerze, że Norwegia, po zerwaniu unii ze Szwecyą i zdetronizowaniu króla Oskara, zaprosiła księcia duńskiego, Karola, do przyjęcia korony norweskiej. Przed 2 jeszcze miesiącami prośbę tę przedłożyła deputacya Norwegów ojcu ks. Karola, sędziwemu królowi Danii, Chrystyanowi. Król Chrystyan zgodził się na propozycyę Norwegów, ale młody książę przyjął koronę norweską tylko pod tym warunkiem, że rząd tymczasowy, jaki stał na czele Norwegii, zarządzi głosowanie ludowe, które okaże, czy naród cały życzy sobie mieć go królem, czy nie. „Nie chcę być królem partyi, ale całego narodu. Posłannictwem korony jest bowiem nie dzielenie narodu na partye, ale kojarzenie partyj poszczególnych, w jeden wielki, świadomy swych celów i siły organizm“ – powiedział książę Karol do deputacyi.

Zarządzone głosowanie ludowe dało jednak, jak to już w poprzednim numerze wspominaliśmy, nadspodziewany rezultat. Oto cały naród jednogłośnie oświadczył się za tem, aby na tronie norweskim zasiadł książę Karol. Natychmiast więc po ogłoszeniu rezultatu głosowania, wyjechała do Danii deputacya z prezydentem ministrów Michelsenem na czele, aby króla uwiadomić o jednogłośnej woli narodu i przywieźć do Norwegii.

Książę Karol przyjąwszy deputacyę, oświadczył, że jako król Norwegii przybiera imię Hakona VII. Imię to nosili najdzielniejsi królowie norwescy, a obecny król jest 7 z rzędu, który je nosi. Po krótkich przygotowaniach w ubiegłym tygodniu opuścił Hakon VII. dwór duński wraz z małżonką swoją królową Maud i synkiem Olafem, udając się do Norwegii, która w tak żywy i dobitny sposób wyraziła mu swoje sympatye.

W Chrystyanii, stolicy Norwegii, oczekiwały na przybycie statku, wiozącego parę królewską, niezliczone tłumy ludu, które co chwila wznosiły okrzyki na cześć Hakona VII. i jego żony. Nareszcie statek zbliżył się ku brzegom Norwegii. Wśród tłumów zatrzepotały naraz chorągwie o barwach narodowych, a z tysiąca piersi wzniósł się ku niebu potężny śpiew narodowego hymnu.

Zstępującego na brzeg króla powitał imieniem rządu prezydent ministrów Michelsen, imieniem ludności jeden z posłów sthortingu. Wśród niemilknących okrzyków odprowadziły tłumy nowego króla do pałacu królewskiego, a kiedy Hakon VII. stanął na progu swego dworu, ozwały się działa forteczne, dając narodowi znać, że król osiadł już wśród swego ludu.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą przybycie króla Hakona do Chrystyanii i powitanie go przez prezydenta gabinetu, Michelsena.



Przybycie Hakona VII do Norwegii: Król Hakon VII wraz z królową Maud wysiada na ląd w Chrystyanii, witany przez prezydenta ministrów wśród okrzyków wielotysięcznej ludności.

Irena Bohus.

Karyerę rozpoczęła we Lwowie na deskach skarbkowskiej sceny w czasach, kiedy ta była istną wylęgarnią nietylko wielkich talentów aktorskich, lecz i śpiewaczych, takich jak Myszuga, Korolewicz, Kruszelnicka i wielu wielu innych. Do pierwszego występu przygotowywał ją, dziś sędziwy maestro, Walery Wysocki, ten sam, który wychował polskiej sztuce wokalnej tylu i takich śpiewaków operowych, tudzież estradowych i tylu doskonałych śpiewaków, prawdziwych artystów — choć uprawiających sztukę śpiewaczą po dyletancku.

Był dawniej na scenie skarbkowskiej zwyczaj wypychania na scenę debiutantki w warunkach możliwie najniekorzystniejszych. Biedne dziewczę, nieobyte ze sceną i jej tajemnicami, ubierano w.. trykoty, króciuchne majteczki i kazano jej śpiewać Siebla... Zażenowane kostyumem, stremowane biedactwo, zamiast wykazać jakieś zalety głosu i najprymitywniejszych zdolności aktorskich— przedstawiało niejednokrotnie politowania godny obraz — wykształcało ze siebie katarynkową aryę „Kwiatki, powiedźcie jej“... i zmykało ze sceny drżąc na całem ciele.

W takich trudnych warunkach rozpoczęła karyerę także i nasza diva operowa, artystka wielka i uznana przez wszystkich krytyków Europy. Prędko minął okres debiutów i prób, rozpoczęła się praca. Ówczesny dyrektor teatru, dziś mąż znakomitej artystki, dyr. Heller, wciełił ją do operetki — jaka to była operetka — pamiętają doskonale starzy, lwowscy bywalcy teatralni. Diva operetkowa taka, jaką była Bohus, nie mogła się jednak utrzymać na swem stanowisku — przeszła też prędko do opery i tu zajaśniała w całym blasku swego talentu zarówno wokalnego jak i aktorskiego, okraszonego niezwykłą pięknością i ujmującym, a naturalnym wdziękiem całej postaci.

Od tego czasu upłynęło lat parę. P. Bohus Hellerowa ze sceny skarbkowskiej przeszła na sceny całej Europy. Przyjmowana przez melomanów, znawców, krytyków i publiczność zawsze gorąco i entuzyastycznie, śpiewa z olbrzymiem powodzeniem w Pradze, Warszawie, Medyolanie i miastach włoskich, w Madrycie, a wreszcie i w operze londyńskiej *Convent Garden*, dostępnej tylko najwybitniejszym śpiewaczkom.

O nas nie zapomina. Po tryumfach europejskich, umie zawsze znaleść sposobność, aby zaglądnąć do ukochanego przez nią Lwowa i zaśpiewać. A choć wielka i podziwiana, jest dziś pani Bohus-Hellerowa zawsze naszą i tą ukochaną Bohuską, której się słucha zarówno na scenie, jak i na estradzie z całą satysfakcyą i rozkoszą. Występ jej jest prawdziwem świętem dla każdego melomana polskiego. *— urs. —*



Irena Bohus.



Ostatni czynownicy dyrektorami teatrów polsk. w Warszawie: Konstanty Romanowicz Herszelman, prezes warszawskich rządowych teatrów.

Ostatni czynownicy dyrektorami polskich teatrów w Warszawie.

Lat temu równo 80, bo z końcem listopada r. 1825, za panowania Aleksandra I, namiestnik Królestwa Polskiego, Józef książę Zajączek, położył kamień węgielny pod budowę wspaniałego gmachu „Teatru narodowego“ w Warszawie, kosztem stolicy wznoszonego naprzeciw Ratusza, na placu z tej przyczyny Teatralnym nazwanym. Budowa gmachu, według planów znakomitego architekty, Antoniego Corazziego, trwała lat siedm. W ciągu tego czasu minęło okres powstania listopadowego w 1830/31 r. — i z upadkiem Warszawy, gdy się w niej wiele zmieniło, musiano też nazwę Teatru Narodowego zmienić na gmach Teatru Wielkiego.

Przez trzy ćwierci wieku bez przerwy i bez względu na wielkie nawałnice dziejowe, srożące się w różnych czasach nad stolicą i nad krajem — miała Warszawa w tym pięknym gmachu z greckimi filarami, swój teatr narodowy, jedyną świątynię polskiego słowa, publicznie głoszonego, a teatr ten po dziś dzień ani na chwilę nie przestał być polskim — mimo więzów cenzury dla repertuaru, mimo wszelakich zakusów rusyfikacyjnych Hurki, Maryi Andrejewny itp. satrapów — mimo, że instytucya ta, która wreszcie stała się rządową, miała na czele zawsze rosyjskiego generała.

Weszło to już w prawo zwyczajowe, że prezesem dyrekcyi rządowych teatrów warszawskich, łączących w sobie operę z baletem, dramat, komedyę, farsę i operetkę — musiał być zawsze jakiś generał, który nie dość, że nie miał pojęcia o sprawach teatralnych, a tem mniej o scenie polskiej i naszej literaturze dramatycznej, ale nawet po polsku zupełnie nie rozumiał i w swojej loży siedział na przedstawieniach Słowackiego, Fredry czy Bałuckiego, jak na kazaniach tureckich. Każdy z nich znał się za to jak najlepiej na balecie, w tym stopniu, co pierwszy lepszy oficer kozacki z pierwszych rzędów foteli.

To też wszyscy, ilu ich było na stanowisku prezesa dyrekcyi teatrów warszawskich w ciągu lat kilkudziesięciu, zawsze protegowali najbardziej balet i o tyle operę i operetkę, o ile w nich balet występował; patryotyczna jednak publiczność warszawska popierała najmocniej przez wszystkie czasy właśnie dramat i komedye polskie, oraz opery Moniuszkowskie.

Z zemsty wreszcie, że nie sposób w rządowych teatrach zmienić języka przedstawień z polskiego na rosyjski, pon eważ niktby wówczas do teatrów nie chodził — każdorazowy prezes dyrekcyi, w osobie generała o „szerokiej ruskiej naturze“ łapowniczej, gospodarował sobie tak ładnie w gmachu na placu Teatralnym, że obłowiwszy się porządnie, usuwał się z intratnej posady właśnie w chwili, gdy skandal mógł się już stać zbyt głośnym i kompromitującym zarówno generała, jak instytucyę rządową.

W ostatnich czasach zwłaszcza, rządy owych „generalskich“ dyrekcyj, doszły już do granic niemożliwych. Dawniejsi prezesowie kradli przynajmniej tak zręcznie, że nikt się nie potrzebował mieszać w ich gospoparkę; teatry bowiem wiązały jakoś koniec z końcem w gorszych czasach, w lepszych zaś przynosiły nawet świetne dochody. Ostatnia jednak dyrekcya przebrała już miarkę tak dalece, że kiedy w kasach zabrakło już pieniędzy na najpilniejsze wydatki, zaczęto o złodziejskiej gospodarce nietylko głośno mówić, ale, co gorsza, pisać coraz wyraźniej, nawet jeszcze w cenzurowanej prasie warszawskiej.

A stało się to zapewne dlatego, że tym razem kradło dwóch do spółki — nie jeden. Były to t. zw. rządy dwóch szwagierków. Mianowicie z poprzedniej dyrekcyi pozostał wiceprezes Karaffa, który w Petersburgu wykołatał mianowanie nowym prezesem swego szwagra Herszelmana. Odkąd zaczęło się ich panowanie w teatrach warszawskich, okazały się tak poważne deficyty w gospodarce, jakich przedtem nigdy nie bywało, aż doszło do tego, że nietylko trzeba było zaciągać ogromne pożyczki kilkakrotnie, ale wreszcie po raz pierwszy od czasu istnienia tej wielkiej instytucyi, zabrakło na zapłacenie gaży aktorom, jakby w jakim prowincyonalnym teatrzyku. Przez kilka miesięcy w tym roku pierwszorzędni artyści musieli żyć na kredyt, a dzięki sceny krakowska i lwowska uznały za swój obowiązek dawać przedstawienia na dochód kolegów warszawskich, nędzę cierpiących. W tym wypadku to nie wina wyjątkowych stosunków w Warszawie, ale owoc działalności zasłużonej



Ostatni czynownicy dyrektorami teatrów polskich w Warszawie: Stanisław Corbouth Karaffa, sekretarz warszawskich rządowych teatrów.

dyrekcyi szwagierków. Dość powiedzieć, że dyrekcya została dłużną artystom z górą 100 tysięcy rubli.

Kiedy przed kilku tygodniami przyszła w Warszawie pora na wiece, ci biedni a patryotyczni aktorzy na swoim wiecu zażądali natychmiastowego usunięcia „generalskiej“ dyrekcyi i oddania teatrów komitetowi obywatelskiemu. Wprawdzie z początku Herszelmann z Karaffą odgrażali się, że jako rewolucyonistów każą wszystkich uczestników wiecu teatralnego pozamykać i nawet wojskiem gmach obsadziwszy, nie chcieli ich wpuszczać na próby, gdy przez 24 dni aktorzy strejkując, nie grali wcale; wprawdzie w pierwszej chwili dali szwagierkowie z dyrekcyi fikcyjną dymisyę 600 osobom personalu teatralnego; ale wreszcie przekonawszy się, że już dla nich wszystko stracone bezpowrotnie, uznali za stosowne przedstawić generał-gubernatorowi swoją dymisyę, którą umotywowali tem, że podległy im personal na swym wiecu dał obecnej dyrekcyi wyraźnie votum nieufności.

I tak w osobach szwagierków Herszelmanna i Karaffy (których portrety znajdą Czytelnicy w niniejszym numerze) ustępują z dyrekcyi teatrów polskich w Warszawie — niewątpliwie ostatni Moskale.



Plotki lwowskie.

(Agitator Gautsch. — W co byłbym prędzej uwierzył? — Mole gazeciarskie. — Skok i powrót. — Dr. Natan Loewenstein jako agitator. — Pamiątka po Maryi Boyer czyli kradzież w hotelu Georgea. — Irena Bohuss-Hellerowa. — Klaka we Lwowie i jej organizacya. — Wizyty i propozycye. — Cennik klakierski. — Grand-klakier i jego komenda. — Uśmierzony strejk. — Podarki św. Mikołaja w wyjątkach ważniejszych. — Zastrzeżenie.)

Najbardziej wpływowym „agitatorem“ za powszechnem prawem wyborczem jest prezydent ministrów baron Gautsch. Nic sobie z tego nie robi, że wymyślają mu z różnych stron, że posądzają go o wstąpienie do partyi socyalno-demokratycznej, że prezes lwowskiego Stowarzyszenia handlowców poprzysiągł sobie nigdy nie zamianować barona Gautscha członkiem honorowym tego klubu, że hr. Wojtek Dzieduszycki dostał manii prześladowczej z obawy o przyszłość Austryi — baron Gautsch agituje dalej z całą forsą sumiennego agitatora i ma widoki powodzenia...

Ktoby w to był uwierzył przed rokiem? Łatwiej byłbym się dał przekonać, że dyrektor Pawlikowski przegada najgadatliwszego adwokata lwowskiego, że rzeźnicy lwowscy rozdawać będą mięso darmo, że w całym Lwowie nie znajdzie się ani jedna pluskwa, że księżyc policyanta przemieni się w słońce... A jednak...

To też skwapliwie czytamy depesze w dziennikach i „oryginalne“ korespondencye z Wiednia, a w kawiarniach wyłapujemy sobie najnowsze dzienniki z rąk. Ba, ale kto nie zna zwyczaju lwowskich czytelników kawiarnianych? Pod tym względem we wszystkich kawiarniach panuje równy zwyczaj, bo każda kawiarnia ma swego, a raczej swoich „mólów gazeciarskich“. Taki pan przychodzi do kawiarni i zanim jeszcze zdjął palto, zanim zamówił swoją czarną, czy białą, zanim znalazł sobie stolik w kąciku — już rozgląda się po całej kawiarni, badając, kto jaki dziennik czyta i starając się odgadnąć, kiedy go mniej więcej odłoży. Następnie obchodzi wszystkie stoły i stoliki, zgartuje wszystkie dzienniki i pisma peryodyczne, nawet wszystkie znalezione na stołach afisze i prospekty i obładowany jak tramwaj pod zas deszczu, wraca do swego stolika, układając na krześle obok siebie wysoki stos zdobytych gazet. Nic go to nie obchodzi, że jeszcze ktoś chciał przeglądnąć dzienniki, że kilkadziesiąt osób nieraz na niego czeka, on trzyma swoją zdobycz — on czyta, czyta wszystko od deski do deski, nie opuszczając inseratów i rubryki „nadesłane“, tudzież „przyjechali do Lwowa“.

Nie rzadko zdarza się, że taki mól gazeciarski wyciąga podczas czytania notesik i wypisuje z dziennika trafne uwagi polityczne, lepsze aforyzmy, dowcipy z kącika humorystycznego, ciekawsze adresy zagranicznych firm z działu inseratowego, a często nawet cały artykulik, godny pamięci. Lepsze artykuły wstępne czyta zazwyczaj dwa lub trzy razy, celniejsze wiersze na miejscu studyuje na pamięć, ważniejsze inseraty lub ryciny wycina delikatnie scyzorykiem.

Za ten czas gorąca herbata zamarzła w szklance, papieros, na bok odłożony, spalił się na popiół, dwóch kelnerów dostało napadu wścieklizny i są już w drodze do zakładu dra Bujwida, płatniczy kilkadziesiąt razy pomylił się w wydawaniu reszty, wydając jakby umyślnie zawsze mniej, kilkadziesiąt lub kilkaset osób przesunęło się przez kawiarnię, niektórzy wrócili już drugi raz, ażeby zobaczyć, czy mól wypuścił już pisma z dzierżawy, a jakiś młody, przystojny jegomość zakochał się w międzyczasie w kasyerce, która dzięki bezczynności gości, czekających naprózno na uwolnienie dzienników, porobiła liczne cenne znajomości...

Takich molów ma każda kawiarnia kilku, a prawdziwą klęską jest dla niej, jeśli oni wszyscy równocześnie „urzędują“. Nie pomoże tu prenumerowanie więcej egzemplarzy, nie pomoże i to, że kelner ciągle nagabuje go, pytając, czy ten lub ów dziennik już wolny, bo zawsze otrzymuje tę samą odpowiedź: „Jeszcze nie, ale przynieś mi jeszcze Bociana, Pschütt, Jugend... bo nie mogłem ich znaleźć“... Gdyby jednak taki mól odszedł po kilkugodzinnem sumiennem czytaniu i nie przeczytał przez zapomnienie jakiegoś tygodnika, zdaje mu się, że jeszcze głodny i wraca do kawiarni, ażeby pominięte pismo bodaj pobieżnie przeglądnąć.

Tak się dzieje w lepszych kawiarniach. Nie mówię już o gorszych, gdzie gość eskamotuje dzienniki, ażeby je dać do przeczytania żonie, córkom, sąsiadowi i mieć papier do pakowania lżejszych rzeczy. Ale do tych kawiarń nikt nie przych dzi dla czytania dzienników, tu trzyma się gazety wyłącznie w tym celu, aby je goście zabierali, a więc na wabika. O nich potem — kiedyindziej.

Dziś mam jeszcze kilka bieżących tematów do omówienia, a sam nie wiem, jak to się stało, że z wykwintnego gabinetu barona Gautscha przedostałem się do lwowskich kawiarń.

A miałem właśnie wspomnieć, że i Lwów znalazł wykwintnego agitatora za powszechnem prawem głosowania, a znalazł go w osobie dra Loewensteina, który na jednem z ostatnich posiedzeń tegorocznego sejmu wygłosił na ten temat świetną mowę. Dr. Loewenstein sposobem prawdziwie paryskim, tak elegancko, jak to chyba on tylko potrafi, wykpił ustęp po ustępie całą rezolucyę większości sejmowej o reformie wyborczej, przejechał się przy tej sposobności po naszych głowaczach sejmowych, wykazał ich nielogiczność sądów, a wszystko to urządził tak zgrabnie, w rękawiczkach, tak salonowo, że nikogo nie obraził, nie dotknął, że sami atakowani śmiali się serdecznie i bawili wesoło, jak gdyby tu nie chodziło o nich... Panowie mowcy, uczcie się mówić u Nutki... Sejm galicyjski już dawno tak pysznej mowy nie słyszał.. Paryżanin w całej rozciągłości ten złotousty Nutka.

Inna paryżanka p., Marya Boyer, świetna śpiewaczka operowa, opuszcza nasze miasto, unosząc ze sobą naszą wdzięczność, podziw i pieniądze, a zostawiając tu drogi, złoty zegareczek damski wysadzany brylantami, który skradziono jej w hotelu Georgea. Nie ulega wątpliwości, że to jeden z wielbicieli jej pięknego głosu zapragnął zatrzymać jakąś cenną pamiątkę po znakomitej śpiewaczce. Lecz te paryżanki nie znają się na grzeczności i o byle jaką drobnostkę zaraz robią wielkie larum. Jakby to co pomogło! W policyi powiedziano jej, że wprawdzie wypada im bardzo żałować, że to smutny wypadek, że może jednak zostawić w policyi swój paryski adres, a gdyby się złodziej kiedyś zgłosił i oddał zegarek, to z pewnością policya odeśle jej szkodę aż do Paryża. P. Marya Boyer dowiedziała się zarazem, jak bardzo u nas we Lwowie się kradnie i odjechała ciesząc się, że jej tu nie skradziono głosu, bez któ ego straciłaby tak piękną egzystencyę. Odjechała więc zadowolona.

Na jej miejscu mamy obecnie panią Irenę Bohuss-Hellerową. Pani Irena jest już od dawna ulubienicą Lwowa, bo tu pierwsze stawiała kroki i tu wyrosła przed naszemi oczami na znakomitość światowej marki.

Jeżeli się dziś o niej nie rozpisuję, to głównie z obawy przed klaką lwowską. Klakę mają i inne sceny wiedeńskie, ale nigdzie klakierzy nie... decydują tak bardzo o powodzeniu artysty, jak we Lwowie. Zaledwie pojawi się na afiszu jakieś nowe nazwisko, już dwóch urwipołciów przyłazi do mieszkania nowego artysty lub artystki celem układów. Naprzód dobywają się. Niechby ich kelner lub służąca nie dopuścili, to przesyłają bilety wizytowe. Taki nowoangażowany artysta sądzi z początku, że to dwaj sekundanci przychodzą z wyzwaniem. Trzeba więc przyjąć, bo gotów się człowiek narazić na drugi pojedynek z powodu obrazy świadków. Wpuszcza tedy owych sekundantów i pokazuje się, że to dwaj komendanci dobrze zorganizowanej klaki. Odrazu ofiarują swoje usługi i proponują warunki. Inaczej płaci się za oklaski po każdym akcie, inaczej za pojedyncze akty, inaczej za brawa przy podniesionej kurtynie a inaczej za kilkakrotne wywoływanie: bis, bis, hurra! Cennik wprawdzie nie niski, ale gdy się zważy, ile znaczą u śpiewaka oklaski i wywoływania, to te ceny muszą się wydawać marnem wynagrodzeniem, ot takiem, jakiem jest naprzykład honoraryum autorskie w galicyjskich dziennikach, po 5 ct. od wiersza za boski, natchniony poemat, nie dający się nawet ocenić na pieniądz. Artysta, w dodatku śpiewak, wie, czem to pachnie, gdyby układy nie przyszły do skutku. Nie tylko zamilczą go na śmierć, ale gotowi... gwizdać. Staje się więc skłonnym do tych układów tembardziej, że pp. klakierzy powołują się na liczną, a znaną klientelę. Wszak p. X. tenor zawdzięcza im niebywały sukces, a Y. śpiewaczka dzięki im mogła przedłużyć swoje gościnne, a dobrze płatne występy, a Z. zaangażowany na próbę, jest już dzięki ich oklaskom stałym członkiem opery, a wreszcie sam pan X. X. im to zawdzięcza, że go po każdej pieśni musza „publiczność“ do powtarzania. No, jakże tu odmówić?..

A potem czytamy w sprawozdaniach o „gromkich oklaskach“ pani X., o „potężnem wrażeniu“, jakie wywołał pan Y. lub Z. i t. d. Nie mniej ciekawem jest, jak się urabia to potężne wrażenie za pomocą gromkich oklasków. Członkowie klubu klakierów z jakimś uczniem gimnazyalnym na czele obsadzają trzeci balkon ze wszystkich stron. Jest ich tylko kilku, nawet niema dziesięciu. A może się mylę... Za to dłonie mają, jak atleci. Komendant klakierów siedzi tuż naprzeciw sceny, a jego podwładni nie spuszczają go z oka. Gdy sam grand klakier klaśnie — wszystko klaska i nie przestaje, bo nie wolno, aż na dany znak. On jeden wie dokładnie, którzy śpiewacy należą do klienteli klubu, a którzy nie należą. Biada śpiewakowi, który mimo kilkakrotnych upomnień nie zapłacił haraczu. „Pssst!“ — daje znak ober-klakier, rozkładając ręce, a cała galerya milczy, jak grób. Śpiewaka, któryby poważył się wyrzucić delegacyę klaki za drzwi — takich u nas niema — czeka wygwizdanie...

Tak więc we Lwowie decyduje o powodzeniu śpiewaków operowych kilku klakierów, a także niektórzy recenzenci, z którymi już nie w tym stopniu, co z klakierami, liczy się p. Grąbczewski. O p. Grąbczewskim krążą w teatrze i poza teatrem rozmaite wieści, mniej lub więcej prawdopodobne, a jednak, zd je się, prawdziwe. Na razie nie sprawdziłem ich jeszcze, choć już wiele ciekawych rzeczy słyszałem.

Czy w ten sposób zyska p. Grąbczewski popularność, czy tak okaże wdzięczność temu miastu, które go tak przyjęło i tak mu zapełnia spektakle, na to niech sobie sam odpowie...

Z nowości operowych mieliśmy w tym tygodniu... „Traviatę“ i „Cyrulika sewilskiego“, w dziale dramatu „Wicka i Wacka“ tudzież „Nadzieję“.

Poza tem wszystko w porządku. Studenci gimnazyalni jakoś nie bardzo obstają przy swoich żądaniach: zniesienia matury, zaprowadzenia tajnego, równego, powszechnego prawa głosowania nad kwalifikacyą profesorów, zniesienia mundurów i zastąpienia ich frakami, dodania do przedmiotów wyższego gimnazyum wykładów teoretycznych o miłości z demonstracyami, a usunięcia greki, łaciny i logiki, zredukowania lat nauki z ośmiu na trzy i t. d... i wrócili już do pracy.

Św. Mikołaj obdarzył wielu lwowian cennymi podarkami, których, niestety, w braku miejsca wymienić nie mogę. Z najważniejszych podarków wymieniam: dyr. Schechtel licencyę na szybkobiegacza, prezydent Małachowski rękawiczkę z wyzwaniem za obrazę pana P. przez inż. Tołłoczkę, dyr. Pawlikowski — fonograf, panna X. artystka teatru — kołyskę, koncepista Tauer — czerwoną chorągiewkę studencką, jako łup wojenny, eksc. Korytowski—zafantowane szelki i powijaki dziecinne.

Innych prezentów nie wymieniam, zastrzegając sobie jednak prawo wyliczenia ich w najbliższym numerze w razie nagłej, a nieprzezwyciężonej potrzeby. *Kl.*



Willy Burmester.

Wiadomość o produkcyi tego artysty rozjaśnia u nas twarze nietylko melomanów, lecz także tej szerszej masy publiczności, która wypełnia salę koncertową nie po to, aby przeżyć w rozmodleniu ducha chwil parę, nie po to, by napoić się czarem muzyki, słowem tej, która nie pożąda szlachetnych wrażeń artystycznych — lecz dąży do sali koncertowej ciągniona, jeśli nie ciekawością usłyszenia jakiegoś artysty lub artystki, to przynajmniej ujrzenia go z bliska... słowem, dąży do sali nie po to, by słuchać, lecz po to, by usłyszeć. Burmester jest jedynym artystą, który w niedługim, bo kilkuletnim ledwie okresie, potrafił z polską publicznością zadzierzgnąć tak silne węzły sympatyi, tak ją ku sobie przyciągnąć, że kiedy on gra, do sali koncertowej ciągną tłumy. Jest to jedyny artysta, którego powodzenia... u nas bez poprzedniego reklamowania może być pewny każdy impresaryo.

Ta niezwykła sympatya nie jest ani kaprysem psychologicznym tłumu, ani też nadzwyczajnym zjawiskiem — a świadczy nad wyraz wymownie o artyście. To, co on da e słuchaczowi, biesiada wrażeń muzycznych i rozkosze słuchowe, jakie artysta ten roztacza wobec swych wiel icieli — są ową magnetyczną siłą — są owym w szlachetnem znaczeniu słowa... wabikiem...

Burmester jest jednym z tych artystów, którzy miłują swoją sztukę, a miłują ją nie dla marnych cekinów, wypłacanych z ochotą przez impresarya, tylko dla samej jej istoty...

„Z chwilą, w której wstępuję na estradę i rozpoczynam grać“ — są słowa niepospolitego artysty — „przyznać się muszę, iż zapominam o tem, gdzie jestem...



WILLY BURMESTER.

Mam wrażenie, że słucha mnie kilku dobrych przyjaciół, starych druhów, szukających wraz ze mną podniosłych wrażeń boskiej sztuki tonów — rozmawiających ze mną cichym szeptem dusz, unoszących się w sferę szlachetniejszych marzeń i uczuć. Doskonale odczuwam ten sympatyczny prąd, który, podążając ku mnie od zasłuchanych dusz, pociąga mnie ku sobie i zniewala do szczerych i serdecznych wynurzeń. Żadna może publiczność nie jest tak wrażliwą na piękno, jak polska. Niemiecka publiczność szuka zupełnie innych wrażeń. Stąd programy moich produkcyj w Polsce układam tak, aby dać w nich więcej głębszych rzeczy — rzeczy traktowanych spokojnie, o podkładzie myślowym, głębszym, owianym poezyą i romantyzmem. W Polsce daję więcej kantyleny i głębi — tu wiem, iż słuchacz mógłby mi darować jaki lapsus techniczny — lecz nie darowałby mi zimno zagranej frazy, lub bez uczucia oddanego śpiewu. Sztuczki techniczne, popisy czysto wirtuozowskiej natury — zostawiam w Niemczech i Francyi, gdzie artystę sądzi się więcej z punktu samej sztuki, aniżeli z punktu uczucia. I to właśnie jest tem, co mnie ku wam „meine lieben Polen“ tak pociąga na sali — w godzinie mego śpiewu — mej modlitwy... Czy słuchacz polski jest zawsze zadowolony moim śpiewem, nie wiem, lecz czuję dobrze, że wita mię zawsze z szczerą radością, składając rękę do oklasku — który tu u was grzmi jakoś szczerzej jak gdzieindziej. Tu wśród was ciepło mi i dobrze, stąd zawsze mię tu coś, wabi i ciągnie“...

Za dni kilka powitamy wielkiego artystę znowu. Przybywa do nas na zaproszenie Towarzystwa muzycznego, które stara się zawsze dostarczać naszym melomanom podniosłych wrażeń, za co na tem przynajmniej miejscu należy się mu szczere uznanie. *urs.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

29 (Ciąg dalszy).

— Rudolf Springer? — odezwał się po minucie. — Tak! przypominam sobie tę sprawę. Staruszek ten przybył istotnie do Hamburga i jeszcze tej samej nocy zabłąkał się w porcie, gdzie wpadł do wody i utonął. To był nieszczęśliwy, smutny wypadek.

— Przepraszam, że się sprzeciwię, panie komisarzu, ale mam pewne podstawy, aby twierdzić, że to nie był nieszczęśliwy smutny wypadek, lecz zbrodnia i to wyrafinowana zbrodnia! Dlatego też przybyłem i będę żądać wznowienia śledztwa!...

Komisarz spojrzał bystro na mówiącego, a we wzroku jego malowało się tak zdumienie, jak i niedowierzanie.

— Czy wspomniał pan o tem panu dyrektorowi policyi?

— Tak, panie komisarzu!

— I jaką pan odpowiedź otrzymał od niego?

— Powiedział mi, że śledztwo prowadził wówczas jeden z jego najsprytniejszych i najsumienniejszych urzędników, mianowicie pan, panie komisarzu i, że na mocy pewności, z jaką pan stwierdził, że chodziło w danym razie tylko o nieszczęśliwy wypadek, on uważa za niemożliwe, aby moje twierdzenie było usprawiedliwione!...

— A jeśli ja panu także powiem, że zgadzam się z jego zapatrywaniami?

— To ponowię tylko prośbę o wznowienie śledztwa! — odparł Archer z pewnością, cechującą całe jego zachowanie się. — To właśnie, co mi powiedział dyrektor policyi, że mam do czynienia z najgorliwszym, najsprytniejszym i najsumienniejszym urzędnikiem, daje mi gwarancyę, że pan, panie komisarzu, uzna błąd, jaki popełniono przy pierwszem śledztwie; to daje mi pewność, że sam z ochotą zdemaskujesz zbrodniarzy i oddasz ich w ręce sprawiedliwości, w której imieniu występuję dzisiaj!...

Spokój i głębokie przekonanie Amerykanina oddziałały na komisarza Bermana. W taki sposób obcy przybysz nie mógłby nigdy postępować, gdyby nie miał pewnych danych do tego.

— Tak! więc masz pan na kogoś podejrzenie?!

— Nie inaczej, panie komisarzu! Więcej jak podejrzenie, bo ja mogę wymienić panu zaraz zbrodniarzy po nazwisku!

— Czy pan to mówisz na seryo? Więc rzeczy naprawdę tak już stoją?!

— Mówię całkiem seryo! Jeśli zaś niemam jeszcze w ręku niezbitych dowodów, to śledztwo musi je na jaw wydobyć! Pan pozwoli, panie komisarzu, że opowiem panu wszystko jak najdokładniej...

— Proszę pana o to tylko!...

— Otóż zaczynam! Zamordowany — inaczej mówić nie mogę — zamordowany Rudolf Springer był moim serdecznym przyjacielem, a kochałem go i czciłem jak ojca. To może wytłómaczy panu, dlaczego interesuję się tą sprawą, dlaczego zależy mi na tem, aby zbrodniarze odnieśli zasłużoną karę. Przebywając ciągle niemal w jego towarzystwie, poznałem dokładnie jego charakter, sposób życia i zachowanie się w każdym wypadku, to też już na podstawie tych wiadomości mógłbym przysiądz, że Springer był zanadto przezornym i praktycznym człowiekiem, aby mógł zabłądzić w Hamburgu i w ten sposób zakończyć życie. Ale to jest moje prywatne zapatrywanie, z którem pan bynajmniej nie możesz się liczyć, bo panu chodzi o fakty, a nie o przypuszczenia! Rudolf Springer miał w Ameryce przyjaciół i znajomych, ale nikt nie został zawiadomiony o jego śmierci i kto wie, kiedy bylibyśmy się o niej dowiedzieli, gdyby nie to, że pewnego dnia pojawiła się w naszem mieście pewna osobistość, która rozgłosiła nam ten wypadek, a zarazem starała się wybadać dokładnie stosunki zmarłego... zwłaszcza finansowe. Był to niejaki Wiliam Parker...

— Parker? — przerwał Berman — zdaje mi się, że słyszałem już to nazwisko! Ach tak! To nazwisko nosił Anglik, którego przesłuchiwałem wtedy w śledztwie! O ile się nie mylę, był to towarzysz podróży pana Springera!...

— Tak jest, było to indywiduum, które w czasie podróży naumyślnie szukało jego znajomości, aby go potem zamordować!...

— Za śmiałe to trochę twierdzenie, mój panie! Ów mister Wiliam Parker był kupcem z Londynu, papiery miał w największym porządku, a całe jego zachowanie się nie wzbudzało nawet cienia podejrzenia! A przytem, gdyby on miał był istotnie takie zamiary względem Springera, to podczas podróży mógłby był tysiąc razy w lepszych okolicznościach popełnić zbrodnię! Ja sam go badałem i to wprost drobiazgowo, a jednak nigdy nie powstała w mej głowie myśl, żeby go podejrzywać!...

— Ja to doskonale rozumiem, panie komisarzu i nie dziwię temu wcale, bo ów rzekomy Parker jest najbardziej wyrafinowanym łotrem pod słońcem! Ale on mi sam przyznał się do tej zbrodni!...

— Hm! to ciekawe! proszę, niechże pan teraz opowiada, ja nie będę już więcej przerywać.

— Dziękuję! Rzecz prosta, że poznajomiłem się z tym panem Parkerem, który prawie do ostatniej chwili towarzyszył memu staremu druhowi. Był to poważny, milczący dżentelmen, który robił wrażenie najuczciwszego człowieka i któremu musiałem wierzyć, choć cały ten wypadek Springera był mi jakoś dziwnie podejrzany. Parker zaś był o wszystkiem znakomicie poinformowany, bo opowiadał mi, że brat zmarłego zabrał do siebie jedyne jego dziecko, dorosłą córkę i że prosił go, dowiedziawszy się, iż ma wyruszyć do Ameryki, aby dowiedział się o stosunkach majątkowych i ewentualnym spadku, jaki przypadałby sierocie po zmarłym. To wszystko zgadzało się z faktami, które znałem i zapewne nie byłbym powziął żadnego podejrzenia, gdybym nie był wyłapał mego Anglika na wprost zbijających się twierdzeniach, na co nie zwracałem wcale jego uwagi. I tak naprzykład, gdy raz na me pytanie powiedział mi, że brata zmarłego prawie nie zna, bo tylko raz i to przelotnie widział się z nim w hotelu, to w parę dni potem nie znajdował wprost słów dla wychwalania tego nieznanego brata i całej jego familii. To dowodziło mi, że albo łgał, jak najęty, albo też znał wybornie całą rodzinę. Ciekawość moja wzrosła, gdy na wszelkie moje badania, gdzie brat mieszka, zbywał mnie wymijającemi odpowiedziami, a dowiedziawszy się, że chciałbym nawiązać z córką zmarłego korespondencyę, oświadczył mi w końcu, że sam nie zna dokładnie adresu pana Franciszka Springera, bo ten wyprowadził się właśnie do innego miasta i że sam oczekuje wiadomości, gdzie ma mu przysłać zebrane informacye. Naturalnie nie wierzyłem mu już wcale, lecz, ponieważ to wszystko wydawało mi się mocno podejrzanem, postanowiłem nie spuszczać z oczu zagadkowego pana Parkera i śledzić go na każdym kroku. Umiałem jednak dobrze się zamaskować i nie zdradzając celu, do którego dążę, czekać spokojnie chwili, w której on sam wygada mi się ze wszystkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

NIE PODPISZĘ.

HUMORESKA.

(Dokończenie).

— Pod przysięgą, że nie obstoję niżej, niż dwadzieścia koron.

— Hm... Słuchajcie-no, mój Bulczyku. Czy ta pani mówiła słowa: daruję wam aryston?

— Te... niby nie mówiła, ale ja sobie tak myślałem, że ona mi daruje.

— Ile panią kosztował ten aryston?

— Dałam za niego po przyjaźni, ale to po przyjaźni, czternaście koron, choć rzecz wartała o wiele więcej. Bo ja kupiłam go od mojej chrzestnej matki, pani Moralskiej z Ryglic. Proszę pana sędziego, pani Moralska niedość, że była moją chrzestną matką, ale do tego brat jej, pan Józef Moralski, ożenił się z Heleną Preibiszówną z Gorlic, której najstarsza córka...

— Dajże mi pani święty spokój z Preibiszami i Moralskiemi, to niema nic wspólnego z kataryną.

— Chciałam objaśnić...

— Dziękuję. — Dałaś więc pani czternaście koron?

— Po przyjaźni.

— Ileś lat pani grała na tej katarynie?

— Dwadzieścia pięć lat.

— A kataryna nie kwikała?

— Nie.

— To ślicznie. A teraz, dawszy czternaście koron, po dwudziestu pięciu latach muzyki bez kwikania, gdy maszyna zaczęła kwikać, chcesz pani dwadzieścia koron?

— Bom lat temu dziesięć sprawiła nową korbę.

— A więc była korba!!! A czemużeś się pani tej korby tak wypierała?!

— Rączka, chciałam powiedzieć.

— Słuchajcie-no, mój Bulczyku. Pogódźcie się z tą panią. Weźcie sobie tę kataryne razem z korbą, dajcie jej za nią bajcowaną szafę, a ta pani dopłaci wam do interesu trzy korony. Zgodzicie się?...

— Ha! Jak pan sędzia tak każe...

— Dopłacisz mu pani trzy korony do szafy?

— Nie, panie sędzio.

— No, to ja wydam wyrok. Zapłacisz pani trzy korony i koszta procesu, wynoszące z pięć koron.

— Krzywda mi się dzieje, panie sędzio!

— Co pani mówisz? Jaka krzywda? Jeśli, moja pani, ta kataryna zamiast grać, kwiczy, to niech dyabli taką muzykę wezmą, jabym za arye nie grane, ale kwiczane, centa nawet nie dał. Jeśli zaś pani podnosisz okoliczność, że ten aryston wraz z korbą jest politurowany...

— Ależ to szafy Rosenzahla są politurowane!

— To wszystko jedno, co jest politurowane. Żeby tam muzyka nie wiem jak była politurowana, a jeśli kwiczy, to pani nie zrobisz z nią żadnego interesu. A więc wydać wyrok?

— Jeśli mają być koszta, to już dam Bulczykowi te trzy korony.

— Tedy umowa sądowa. Akt spisany. Racz pani to podpisać.

— Już podpisane.

— Bulczyk, podpiszcie ten papier.

— Nie podpiszę, panie sędzio.

— Przecie zgodziliście się. Dostaniecie trzy koron...

— Zgadzam się.

— No to podpiszcie. Umiecie pisać?

— Umię, ale nie podpiszę.

— A to dlaczego?

— U nas we wsi nikt nigdy nic nie podpisuje. Ojcowie mię uczyli, żeby nigdy nic nie podpisywać, bo za to trzeba albo siedzieć, albo płacić. Sąsiad raz podpisał się na wekslu, to zapłacił potem za ten podpis ośmset koron...

— To nie jest weksel. To jest ugoda sądowa.

— Nie podpiszę.

— Ależ musicie podpisać.

— Świetny sądzie, ja zapłacę pani pocztmistrzowej trzy korony, a nie podpiszę.

— Ja was zmuszę!

— Ja jej dam katarynę wraz z korbą, a nie podpiszę!

— Słyszysz, chłopie, podpisuj!!

— Niema głupich. Tam złodziejstwo pewnie jakie. Zapłacę ośmset koron...

— Obrażasz sąd!!!

— To nie piszcie wychwytek, za które płacić trzeba.

— Hola! Woźny! Obraził sąd! Dwa dni aresztu! Brać go do dziury!

— Do dziury pójdę. Trzy korony dam. Dam szafę i katarynę, ale nie podpiszę!

KONIEC.

Rozwiązania z Nru 48.

Szarada.

Przy-tu-li-sko.

Zdanie.

I g e l **s** t r o m
I m e r e **t** y ń s k i
G r z e g o **r** z e w s k i
L e o n c **a** v a l l o
I n d y **j** s k i e
K o n **k** u r s
K o **k** o s
n **o** c
b a **l** e t
k o r **e** k t a
K a **j** u s
t e r m **o** m e t r
K r a k o **w** i a n k i
e l e k t r **y** c z n o ś ć
U n t e r **w** a l d e n
S u d e **R** m a n n
K a r **o** l e k
a r **s** e n
Ż **y** d
i

Strajk kolejowy w Rosyi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Kazimierz Jurkiewicz Tłumacz, Helena Mokrzycka Turbia, Helena Ulrych Malin, Kuszpeciński Kraków, St. Szwabowicz Żurawno, Marya Arbesbauer Lwów, K. Chodkiewicz Zbydniów, E. Bogdalska Koropuż. Tadeusz Domain Sanok, Józefowie Nowicy Sokal, Dr. Leon Świeżawski Gorlice, Remiszewski Załawie. Karol Fuchs Peczeniżyn, Stadnik Grabiny, Helena Zielińska Manajów, Sławiński Wierzchosławice, A. Skulski Lwów, Maryan Cichewski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Helena Zielińska w Manajowie. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

(Ułożył K. Chodkiewicz).

6
16 10 3
16 7 1 7 4
8 2 1 12 8 20 16
6 10 1 12 4 20 6 5 15
8 5 17 3 20 11 14 17 16 11 20
13 15 20 12 16 19 2 20 16 11 5 17 5
6 10 1 12 4 11 2 5 16 1 12 17 16 11 20
3 5 11 20 15 5 16 19 18 2 21 7 5
8 2 5 17 14 1 15 5 17 21 5
11 2 10 3 12 17 20 12 21
16 22 5 17 18 19 5
5 2 16 12 15
5 11 19
20

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2. Minerał 3. Mitologiczny człowiek, pracujący bez odpoczynku. 4. Inaczej pouczenie, jak należy coś robić. 5. Dwa imiona męskie połączone spójnikiem. 6. Dyrektor jednego z największych polskich teatrów. 7. Dwie rzeki galicyjskie, połączone spójnikiem. 8. Imię i nazwisko jednego z największych polskich powieściopisarzy XIX. wieku. 9. Dwa kwiaty połączone spójnikiem. 10. Człowiek, zajmujący się specyalnemi studyami nad prawem. 11. Miasto polskie w Prusach wschodnich. 12. Miasteczko na Wołyniu. 13. Metal. 14. Dokument. 15. Samogłoska.

Szarada.

Pierwsze, gdy samo, to jest litera,
Którą alfabet każdy zawiera —
Drugie, gdy samo w greckim języku,
Ze szkół pamiętasz je, Czytelniku.
Pierwsze i *piąte* — jest nazwą klasy
Co średniowieczne przywodzi czasy.
Czwarte i *piąte* — to *spis* inaczej,
Dla panujących dość wiele znaczy,
Gdyż w miarę, jakie są ich pretensye,
Na *czwarte piąte* dostają pensye.
Drugie i *pierwsze* broń używana
Dawnemi czasy w ręku ułana,
Była praktyczną i przytem tanią;
Trzecie i *pierwsze* wskazuje „na nią“.
Całość to człowiek bardzo bogaty,
Co w bankach trzyma swoje dukaty
I nie pytając o troski czyje,
Z procentów sobie wygodnie żyje!

Logogryf.

(Ułożyła Anna Z. z Mikuliniec).

Z niżej podanych 29 zgłosek, utworzyć 10 słów, których początkowe i końcowe litery z góry na dół czytane, dadzą okrutny czyn XX. wieku, po wieczne czasy pamiętny.

an-ri chy-fi-ław ten-mały-atr-sta-szina-am-te-tycz-włos-dys-ą-by-ny-ragd-tel-nal do-wła-wa-to-zło eu-źli-stwo.

Znaczenie wyrazów:

1. Płaz morski. 2. Inaczej rzeczywisty. 3. Szlachetny kamień. 4. Tytuł honorowy. 5. Imię męskie 6. Miejsce, gdzie w Rzymie męczono chrześcian. 7. Włoski bandyta. 8. Roślina 9. Imię męskie. 10. Przymiotnik, którym określamy ludzi niedobrych.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy: **2 funty czekoladek w bombonierce**, z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.

Z półek księgarskich.

M. Rościszewski: **Księga obyczajów towarzyskich.** Nakładem M. Zukerkandla w Złoczowie. Wydawnictwo „Biblioteki powszechnej“, odznaczające się przedewszystkiem taniością, gdyż pojedynczy tomik kosztuje zaledwie 12 centów, wyrobiło już sobie zasłużone zupełnie uznanie wydaniem całego szeregu dzieł, przeważnie arcydzieł literackich, bo w ten sposób przyczyniło się do rozpowszechnienia klejnotów literatury powszechnej wśród społeczeństwa biednego i stosunkowo mało się literaturą zajmującego. Obok pereł literatury swojskiej i najcenniejszych dzieł literatury obcej, wyszło w „Bibliotece powszechnej“ mnóstwo książeczek, zawierających cenne prace z dziedziny krytyki, pedagogii i wychowania, które to książeczki wypełniają w naszej literaturze dotkliwie dające się uczuwać luki.

Do tych ostatnich należy i większa praca M. Rościszewskiego, wydana w ostatnich czasach w „Bibliotece powszechnej“ p. t.: Księga obyczajów towarzyskich“. Życie dzisiejsze zakute jest formalnie w pewne formy, których niezachowanie zdradza małą inteligencyę i złe wychowanie. Formy te nie są szablonem, gdyż każdy indywidualnie może je stosować i to zawsze z dobrym skutkiem. Książeczka p. Rościszewskiego, obejmująca szereg szkiców, jak się ma zachowywać w towarzystwie dobrze wychowany człowiek, jest dla każdego, zwłaszcza dla młodego, jakby podręcznikiem, czemś w rodzaju encyklopedyi podręcznej dobrego tonu. Warto ją przeczytać, bo zawsze można się z niej ciekawych rzeczy dowiedzieć, warto tembardziej, że temat, stosunkowo suchy i nudny, obrobiony został przez autora po literacku, tak, że czytać można to dziełko bez znużenia i z pewnem zadowoleniem. Wydawnictwo Zukerkandla udowodniło raz jeszcze, że w doborze dziełek, przeznaczonych do popularnej „Biblioteki“ kieruje się uznania godną go liwością, aby wydawać rzeczy przedewszystkiem te, których u nas brak, a których potrzeba daje się odczuwać.

H. Ibsen: **Związek młodzieży,** sztuka w 5 aktach. Biblioteka powszechna W. Zukerhandla w Złoczowie. Do szeregu wydanych już poprzednio dramatów tego „milczącego filozofa z północy“, jak jeden z krytyków nazwał H. Ibsena, przybył w „Bibliotece powszechnej“ jeszcze jeden dramat „Związek młodzieży“. Sztuka ta, pełna, jak każda praca Ibsena wielkich myśli, odznacza się wszystkiemi zaletami największego z dramaturgów dzisiejszych. Wielbiciele Ibsena powitają ją z radością. Tylko jedno... tłómaczenie pozostawia wiele do życzenia; zanadto tchnie germanizmem.

Björnstjerne-Björnson: **„Ponad siły“** sztuka w 2 aktach. Czytelnicy „Nowości illustrowanych“ znają treść sztuki powyższej z recenzyi, zamieszczonej z przedstawienia jej w teatrze krakowskim przed kilku tygodniami. Dwa akty, wydane obecnie w „Bibliotece powszechnej“ stanowią pierwszą, bardziej poetyczną część pięcioaktowego dramatu „Ponad siły“. Akcya, pełna poezyi i uroku, porywa czytelnika czy słuchacza bardziej w tej pierwszej, aniżeli w drugiej części pomnikowego dzieła norweskiego statysty, polityka, dziennikarza, agitatora i poety w jednej osobie, jakim jest Björnstjerne-Björnson. Ten największy dzisiaj obok Ibsena dramaturg, jest u nas jeszcze mało znanym, z tem większem więc uznaniem przyjmujemy wydanie wyżej wymienionego dramatu, który jest bezsprzecznie jednem z najpiękniejszych dzieł literatury wszechświatowej. W tłómaczeniu tylko jest sporo usterek.

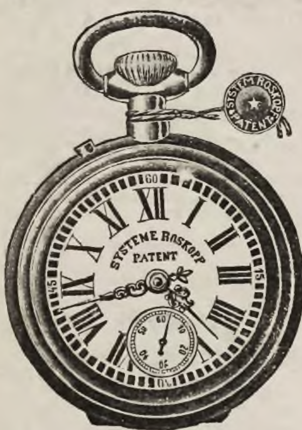
Świeżo nadesłano do redakcyi następujące książki:

M. Prevost: **„Juleczka“** nowela małżeńska z francuskiego Kraków 1906 Nakładem księgarni kolejowej St. Kavki w Krakowie. Okładka wedle rysunku J. Bukowskiego.

L. Couperus: **„Władca pokoju“** senzacyjna powieść Kraków 1906. Nakładem księgarni kolejowej St. Kavki w Krakowie.

H. Kahlenberg: **„Rusałeczka“.** Nowela. Kraków 1906 Nakładem księgarni kolejowej St. Kavki w Krakowie.

Tylko 5 koron **Anker — zegarkiem przyszłości** Tylko 5 koron



jest mój **prawdziwy szwajcarski** antymagnetyczny **Patent Anker-Remontoir zegarek „System Roskopf“** z masywnem, w kamieniu chodzącym, anker werkiem, z prawdziwym emaliowanym cyferblatem, masywną prawdziwą pląbą ochronną, zaopatrzoną niklową oprawą i szarnirową okrywką nad werkiem, z okrągłem uszkiem, 36 godzin idący, ozdobną pozłacaną wskazówką, dokładnie uregulowany, **z 3-letnią pisemną gwarancyą,**

sztuka 5 koron

3 sztuki K 14—, 6 sztuk K 27—.
Ten sam zegarek z sekundową wskazówką sztuka . . **K 6·—**
3 szt. K 16·—, 6 szt. K 33·—.
W czarnej stalowej oprawie . . . . **K 6·50**
3 szt. K 18·—, 6 szt. K 34·—.
W podw. kop. z prawdz. nikl. opr. bez wskaz. sekund. **K 8·—**
3 szt. K 22·—, 6 szt. K 40·—.
Z podwójnemi kopertami w czarnej stalowej oprawie **K 8·50**
3 szt. K 23·—, 6 szt. K 42·—.
Z podw. kop. w prawdz. nikl. oprawie z sekund. wskaz. **K 9·—**
3 szt. K 24·—, 6 szt. K 45·—.
W prawdz. srebrn. oprawie, otwarty, bez wskaz. sekund. **K 10·—**
3 szt. K 28·—, 6 szt. K 52·—.
W trwałej srebrn. oprawie, otwarty, ze wskaz. sekund. **K 12·50**
3 szt. K 35·—, 6 szt. K 68·—.
Podwójnie kryty, w srebrnej oprawie (3 srebrne koperty), wskazówka sekundowa . . . . **K 16·—**
3 szt. K 46·—, 6 szt. K 90·—.
Podwójnie kryty w ciężkiej, bogato grawirowanej, srebrnej oprawie, ze wskazówką sekundową . . **K 18·—**
3 szt. K 50·—, 6 szt. K 96·—.

Proszę tych zegarków nie porównywać z taniemi Roskopf zegarkami, które są wszelkimi znanymi sposobami reklamowemi narzucane odbiorcom. **Mój Anker, zegarek przyszłości,** odpowiada wszelkim wymaganiom P. T. Odbiorców. **jako znakomity i punktualny czasomierz.**

Wysyłamy rocznie 50.000 sztuk ku zupełnemu zadowoleniu P. T. Odbiorców. Ta wielka cyfra wysłanych zegarków **jest najlepszym dowodem rzetelności** mojego domu wysyłkowego. **Każde, nawet najmniejsze, zamówienie zostaje bardzo dokładnie załatwione. Zamiana w nieuszkodzonym stanie, jak również zwrot zapewniony.**

Wysyłka za zaliczką przez

Pierwszą fabrykę zegarków Hanns Konrad w Brüx Nr. 1381. (Czechy).

C. k. sądowy rzeczoznawca. Odznaczony c. k. orłem austryackim, złotymi i srebrnemi medalami na wystawach i więcej jak 100.000 listami uznania ze wszystkich stron świata.
Bogato illustrowane cenniki, przeszło 1000 illustracyj, wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.

Marka ochronna: „**Kotwica**“

Liniment. Capsici comp.,

zastąpienie

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako **wyśmienite, bóle usmierzające nacieranie**; do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., Kr. 1.40 i 2 Kr.

Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką „**kotwicą**“, wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera
pod „złotym lwem“ w Pradze,
ulica Elżbiety No. 5 nowy.
Wysyłka codzienna.

Dobrze idące Szwarcwaldzkie zegary

ozdobne, z dobrym werkiem i 3-letnią rękojmią, białe kościane wskazówki i cyfry, 18 cm. wysoki, kompletny z bronzowanym ciężarkiem, nadzwyczaj tani

tylko koron 2·50

Corocznie wysyłam więcej niż 50.000 zegarków ku najwyższemu zadowoleniu moich P. T. Odbiorców. Poważna ta liczba, która jest jedyną w Austryi, daje najlepszy dowód o solidności mojej firmy. Każde nawet najmniejsze zamówienia uskuteczniam najskrupulatniej. Wysyła za zaliczką

Hanns Konrad Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 1384 (Czechy).

Bogato illustr. cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Tylko 2 kor. franko! **Tylko 2 kor. franko!**



ZEGAREK RULETA KIESZONKOWA

Senzacyjna towarzyska zabawa! Zegarek, który jest dokładną kopią gry ruletowej w Monte Carlo, funkcyonuje prawidłowo! Cena z objaśnieniem i planem gry w niklowanej kopercie za sztukę tylko 2 K, 3 sztuki 5 K., w czarnej stalowej kopercie, z ruchomym mechanizmem 4 K.; za poprzedniem nadesłaniem należytości także w markach przez dom eksportowy

H. Auer, Wiedeń IX/2 Nussdorferstr. 3/N.

Po tym znaku poznaje się sklepy



w których się wyłącznie **Singera** maszyny do szycia sprzedaje.

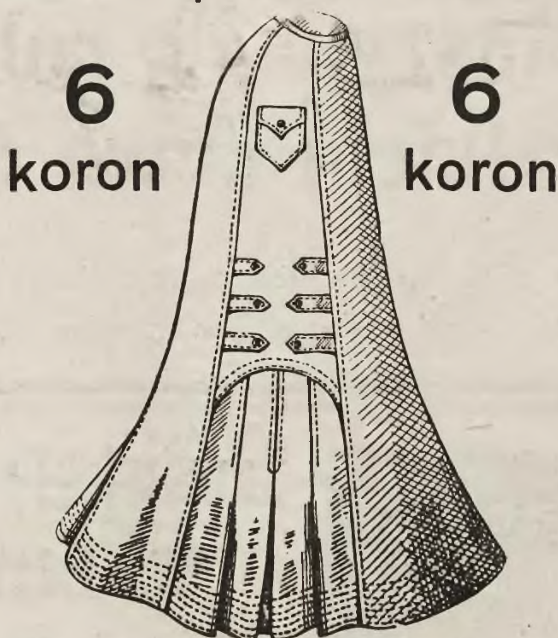
Singera Komp. Tow. akc. maszyn do szycia

Kraków, ulica Szpitalna L. 40.

Ostrzegamy naszych P. T. Odbiorców przed maszynami, które dostarczają inni kupcy pod nazwą „oryginalne Singera“. Ponieważ naszych maszyn do szycia nie oddajemy nigdy żadnym kupcom do sprzedaży, przeto dostarczane przez nich maszyny pod nazwą „oryginalne Singera“ — są w najlepszym wypadku stare, używane, z trzeciej ręki nabyte i odnawiane, za które my ani odpowiedzialności nie przyjmujemy, ani też do takowych potrzebnych części nie dostarczamy.

Elegancka paryska

jesienna spódnica do bluzek

6 koron  **6 koron**

Najmodniejszy fason garnirowany skórką z na delikatniejszego tyrolskiego włósia, w kolorach: czarnym, szarym, niebieskim, jakoteż koloru identycznego z tkaniną lub angielskiego, z materyałów trwałych, wytłaczanych w desenie różnego koloru sporządzane, czynią zachwycający efekt. Każdy kostyum będzie podług nadesłanej miary wykończony. Wystarczy oznaczyć szerokość ohwodu sukni u dołu, w biodrach i w talii, długość z przodu od talii. Na życzenie może „kostyum Schoss“ być przybierany aksamitem lub jedwabiem. Na prowincyę wysyła się za zaliczką.

„Zur Schoss-Fabrik“ Wiedeń XVI., Lerchenfelderstr. 2.

Modne, znakomite, skórkowe pularesy nie do zniszczenia!



Tylko doborowy tower, nie podlepiane papierem! Pularesy z hawańsko-brunatnej doskonałej skóry, przedział na drobne pieniądze z niklowem okuciem, niklowy zamek, 5 przedziałów, 9 cm. długi, 5½ szeroki K. —·95. **Tanie i dobre pularesy dla pań i panów,** z 3-ma przedziałkamif każda przedziałka z osobn. zamknięciem K. 1·10. Juchtowa sport kieska »Klub« z jednego kawałka skóry bez szwu koloru hawańskiego, duża przedziałka na drobne pieniądze, 3 przedziałki, niklowe okucie K. 1·40. Eleganckie pularesy po K. 1·60, 1·80, 2·—, 2·20, 3·—, 4·80. **Żadego ryzyka! Zamiana zapewniona albo zwrot pieniędzy.** Przesyłka za zaliczką przez

HANNS KONRAD
Dom przesyłkowy w Brüx Nr. 1390 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 illustracyami, otrzyma każdy na żądanie darmo i opłatnie.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

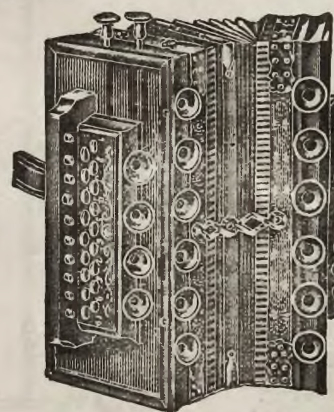
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.
Bezpłatne dodatki.
Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

„FLORA“
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKÓW, PODWALE 13.

Poleca się
EDMUND MARYAN BEER
Jubiler i złotnik
długoletni współpracownik b. firmy
J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI
LWÓW, Akademicka l. 4.

---

30 dni do przeglądnięcia



w myśl zobowiązań w cenniku, następnie bez żadnego ryzyka dla zamawiającego wysyłam za zaliczką moją ***„Przyjaciel ludu Harmonia“*** Nr. 663 aby każdego o niezrównanej wartości tejże przekonać. Harmonia ta zaopatrzoną jest w niedające się złamać sprężyny stalowe tak w klawiszach jak i w basach i klapach powietrznych, po 10 klawiszy w 2 rzędach. Podwójne tony, 48 tonów, 3 rzędy, trąbki, machoniowe, czarne listwy z kolorowemi wypustkami. Niklowe okucie. Podwójne miechy. Ochraniacze kątów i zapięcie. Wielkość 31×15 cm.

Cena za sztukę K 7.—.

Szkołę dla samouków otrzymuje każdy odbiorca darmo.

Tańsze i mniejsze harmonie dla poduczenia się gry na harmonii, a w szczególności dla dzieci K 2.20, 3.50, 4.40, 5.50. Lepsze harmonie po K 9.—, 10.—, 12.—, 14.—, 16.— są w moim katalogu uwidocznione. **Do moich harmonij niema doliczanych kosztów cła, ponieważ są wszystkie czeskiego wyrobu. Żadnego ryzyka, ponieważ zapewniam każdemu zamianę nawet zwrot pieniędzy.** — Wysyłka za zaliczką przez

DOM PRZESYŁKOWY INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
HANNS KONRAD w Brüx Nr. 1389 (Czechy).

Bogato illustr. cennik, przeszło 1000 illustracyj, wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.

KAPELUSZE

HABIGA, PLESSA,
SCOTTA, BORSALINY,
PICHLERA, CHRYSTYSA



POLECA ZDZISŁAW

ZDANOWICZ W KRAKOWIE.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

---

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:

T. ARMATYS
optyk i mechanik
Kraków, Plac Maryacki 3
P. P. c. k. Urzędnikom,
Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.**

Ważne dla pp. Cukierników!
Tacki, koszyczki, torebki, krążki i pierścienie pod torty,
jakoteż wszelkie wyroby z papieru w zakres cukiernictwa wchodzące poleca firma:
Anna Krause
Lwów, ul. L. Sapiechy l. 18.

M. Beyer i Spółka

Nowości Sezonowe w bardzo wielkim wyborze.

Spodniczki i kaftaniki Pyrénée, flanelowe i sukienne. — Majtki krojem reformowanym, wełniane, jedwabne i trykotowe. — Halki sukienne, wełniane i jedwabne, oraz bluzki w bardzo wielkim wyborze, wszelkiego rodzaju.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą.

Kraków, Sukiennice Nr 12–14.

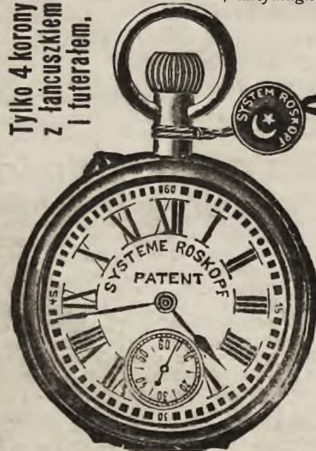
---

6 miesięcy na próbę!

3 miesiące kredytu! Całkiem darmo!

i tym podobnych reklam firma moja używać nie potrzebuje, celem odbioru swoich zegarków. Wysyłam już od szeregu lat **ku zupełnemu zadowoleniu** moich prywatnych odbiorców, prawdziwe amerykańskie, antymagnetyczne systemu

Tylko 4 korony z łańcuszkiem i futerałem.



Roskopf-Patent

Anker - Remontoir

zegarek Nr. 99

z plombą

w czarnej imit. stalowej albo niklowej oprawie, patent. emaliowany cyferblat, 36 godzin idący, **dokładnie obciągnięty,** z 3-letnią pisemną gwarancyą, irchowym futerałem, z niklowym łańcuszkiem, wisiorkiem **K 4.–**, 3 sztuki **K 11.50,** 6 sztuk **K 27.50.** Ten sam zegarek **z dwoma kopertami K 6.80.**

Tanie systemu „Roskopf“ zegarki bez plomby, które sprzedawane bywają przez zegarmistrzów i małych handlarzy K 3.–.

Na życzenie pieniądze się zwraca, albo zamienia zegarki, jeżeli się znajdują w dobrym stanie, nawet po 6 miesiącach.

Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości

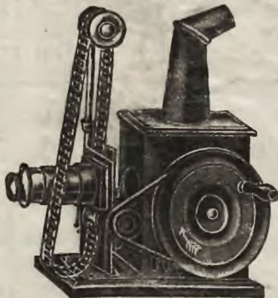
Pierwsza fabryka zegarków

HANNS KONRAD

w Brüx Nr. 1380 (Czechy).

C. k. sądowy rzeczoznawca. – Odznaczony c. k. państwowym orłem austryackim, złotymi i srebrnymi medalami na wystawach światowych i przeszło 100.000 pisemnemi uznaniami ze wszystk. stron świata. **Bogato illustrowane cenniki, przeszło 1000 illustracyj, wysyła na żądanie darmo i opłatnie.**

Kinematograf.



Bardzo interesujące dla dzieci i dorosłych, również do użycia jako **„latarnia magiczna“**, 38 cm. wysoka, z 3-kolorowemi obrazami paskowemi (Films) i 12 szklanych obrazów, naftowa lampa, reflektor i kompletne objaśnienia na kartonie **K. 17·–.** Przez ten kinematograf mogą być tak przez młodych jak i starszych mile widziane żywe obrazy przedstawione na ścianę. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać.

Zamawiać należy wprost

Pierwsza fabryka zegarów

HANNS KONRAD

w Brüx, 1392 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki kinematografów, latarń magicznych, maszyn parowych, mechanicznych zabawek, przesyła na żądanie darmo i opłatnie.

Darmo i opłatnie

otrzyma każdy mój bogato

illustrowany cennik

Instrumentów muzycznych

oraz różnych

ZABAWEK

A. Scheuer, Kraków

ulica Grodzka l. 59/6. 7-59

Krajowa fabryka mebli stylowych

kompletne urządzenia:

sypialnie od 80 złr. do 500 złr.
jadalnie „ 85 „ „ 600 „

Dla wygody P. T. Publiczności także na spłaty, odsprzedającym znaczny opust. – Styl barokowy, secesyjny i wszelkie inne. Kompletne salony z rozmaitemi p kryciami, mahoniowe, urządzenia biurowe i kuchenne, krzesła gięte i prawdziwe skórzane, meble żelazne i mo iężne, wózki dziecinne i łóżeczka, pokoje kawalerskie, największy wybór kredensów kuchennych, poleca po cenach najtańszych Skład i fabryka mebli stylowych

Ignacy Milwiw, Lwów, Słoneczna 13 i 15, Pasaż Hermanów.

Stanisław Włodek

INTROLIGATOR

przeniósł swój zakład

na ulicę Floryańską l. 1

„pod murzynami“.

Kufry, Torby, Obuwie męskie

poleca

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE

ul. Sławkowska l. 3.

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

I WARSZTAT NAPRAWY IGNACEGO GROSSA

POD KIEROWNICTWEM:

JANA BUJEGO, mechanika specyalisty

W KRAKOWIE, UL. STAROWIŚLNA 1

(NAPRZECIW GŁ. POCZTY).

Wykonuje szybko, dokładnie i gruntownie naprawy maszyn do szycia wszelkich konstrukcyi. Sprzedaje maszyny używane w znakomitym stanie, jakoteż części składowe najlepszego gatunku do wszelkich systemów maszyn do szycia.

Zamówienia z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą. Wszelkie naprawy mogą być uskutecznione w przeciągu 48 godzin.

CENY UMIARKOWANE.

Na prowincyę

wysyłamy po nadzwyczaj niskich cenach tak za gotówkę, jak i na kredyt dywany, portyery, firanki, kapy, koce, kołdry, konfekcyę męską, damską i dziecinną, obuwie, bieliznę, meble, lampy, naczynia porcelanowe jakoteż wszelkie inne możliwe towary.

Pięknie illustrowane nasze cenniki za nadesłaniem 10 h. w markach.

Listy należy adresować:

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA“

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.

w Krakowie,

Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

Pierwszy krajowy skład hurtowny i częściowy

Gramofonów i Fonografów

Józefa Wekslera w Krakowie, ul. Grodzka 71 a.

Generalne zastępstwo dla całej **Galicyi i Śląska Akcyjnego Towarzystwa „Gramofonów“ Wiedeń-Berlin** poleca tylko prawdziwe gramofony i płyty z marką **„Aniołek piszący“.**



Najpiękniejszy i najodpowiedniejszy

podarunek na gwiazdkę i święta

dla dorosłych i dzieci jest mówiący i grający **Gramofon koncertowy,** który z okazyi świąt polecam wraz z 10 płytami **za 70 koron.**

Wielki wybór płyt najnowszych zdjęć w cenie od **koron 1·– do 24·–.**

Części składowe zawsze na składzie – Ceny bardzo przystępne. – Reperacye wykonuje się dokładnie i szybko po cenach umiarkowanych.

Cenniki darmo i opłatnie. — Zamówienia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą.

Bez nauczyciela, bez przygotowania i bez znajomości nut

może każdy na moim dętym

„Akkordeonie“

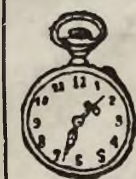


grać pieśni, do tańca i marsze. Na wesela, zabawy i wycieczki bardzo się nadające. Instrument ma 10 klawiszy, 20 tonów. 2 klapy powietrzne i kosztuje sztuka wraz z samouczkiem złr. 1·25, 3 sztuki złr. 3·50. Akkordeon najlepszego gatunku z doskonałymi tonami złr. 1·80.

Przesyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez

HANNS KONRAD

Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych w Brüx Nr. 1388 (Czechy). Bogato ilustr. cenniki darmo i opłatnie.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów,** wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków

ul. Zielona 3, II. p:

Przepiękne i trwałe

ubrania zimowe z bardzo dobrej materyi kamgarnowei na każdą miarę po złr. 9 75. płaszcze zimowe (oberoki) po złr. 9 75, kurtki futrzane po złr. 13 50 wysyłamy na prowincyę tylko za pobraniem pocztowem. Na żądanie zamiana lub zwrot pieniędzy odwrotną, pocztą przez co wszelkie ryzyko wykluczone.

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA“

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

Maszyny do szycia i haftu

poleca

od 32 lat znany P. T. Publiczności

SKŁAD MASZYN

JÓZEFA IWANICKIEGO

mechanika i specyalisty

we Lwowie, Hotel George'a.

Nauki szycia i haftu udziela bezpłatnie firma.

Agentów nie posyła.

Cenniki darmo i opłatnie.

CUKIERNIA

Kazimierz Sotschek

LWÓW

poleca się P. T. Publiczności.

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Dziecko karmione mączką Gurgula jest wolne od wymiotów, wysypek, diarrhoë, humor ma wesoły, wyróżnia się świeżością cery, żywością spojrzenia, twardem, elastycznem ciałem, rozwija się silnie, kości wzmagają się, a wypróżnienia odbywają się prawidłowo.

Do nabycia w aptekach. **Do każdej puszki dołączony przepis użycia.**

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.
Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.